

ROK 1955

ZESZYT 4 (129)

PORADNIK JEZYKOWY

KWIECIEŃ
1955



PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Zatwierdzone pismem Min. Oświaty nr VI Oc-2755/49 z dnia 30 stycznia
1950 r. do użytku szkolnego jako pożądane w bibliotekach
nauczycielskich.

T R E Ś Ć N U M E R U

1. HIPOLIT SZKIŁADŹ: O słownikowym haśle *cyklon* 121
2. ZOFIA ŁEMPICKA: Słownik oksfordzki 124
3. JÓZEF WIERZCHOWSKI: Dwie koncepcje słowników niealfabetycznych 127
4. GABRIEL KARSKI: Kłopoty tłumacza 133
5. EUGENIUSZ ŚLUSZKIEWICZ: Notatki etymologiczne. Wyobcować 143
6. Recenzja:
 WANDA POMIANOWSKA: A. Zaręba: „Słownictwo Niepołomic“ 145
7. Z GWARY SUWALSKIEJ:
 Jak dawniej wojowali 148
8. A. S.: Co piszą o języku 150
9. W. D.: Objasnienia wyrazów i zwrotów 153

WYDAWCA: PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

REDAKCJA: WARSZAWA, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 26/28,
ZAKŁAD JĘZYKA POLSKIEGO UNIwersYTETU WARSZAWSKIEGO
KOMITET REDAKCYJNY: PROF. DR WITOLD DOROSZEWSKI
(REDAKTOR NACZELNY), PROF. DR HALINA KONECZNA, DR STA-
NISŁAW SKORUPKA, PROF. DR STANISŁAW SŁOŃSKI, PROF. DR
ZDZISŁAW STIEBER, PROF. DR WITOLD TASZYCKI
SEKRETARZ REDAKCJI: MGR WANDA POMIANOWSKA

Cena pojedynczego numeru 3 zł, prenumerata roczna 30 zł.

PORADNIK JĘZYKOWY

MIESIĘCZNIK

REDAKCJI SŁOWNIKA JĘZYKA POLSKIEGO
(założony w r. 1901 przez Romana Zawilińskiego)

O SŁOWNIKOWYM HAŚLE CYKLON¹

CYKLON m. IV, D. -u, Ms. ~ ɔnie
I. meteor. a) «silny i szybko przesuwa-
jący się wir powietrzny o dużym pro-
mieniu, powstający dokoła miejsc o ni-
skim ciśnieniu atmosferycznym»: Cy-
klonom towarzyszą zazwyczaj opady
atmosferyczne, ponieważ powietrze dą-
żąc ze wszystkich stron do środkowego
obszaru o niskim ciśnieniu płynie prą-
dem wstępującym ku górze, tu się ozię-
bia i rozrzedza, para wodna się skra-
pla i następuje pogoda dżdżysta. Wiedz.
58, s. 12. Brzegi czukockie znajdują się
pod wpływem kontynentalnych anty-
cyklonów, a Cieśnina Beringa pod
wpływem cyklonów Oceanu Spokojne-
go. Cent. Czel. 89.

b) Cyklon a. cyklon zwrotnikowy «in.
burza wirowa, gwałtowna burza tropi-
kalna z wirami powietrznymi i desz-
czem; tajfun»: Strefa ta [gorąca] obej-
muje (...) trzeci typ burz, tzw. torna-
do, czyli cyklon zwrotnikowy, znany
również (na wybrzeżach i wyspach
wschodnio-azjatyckich) pod nazwą taj-
funu. Pietk. Klim. 76.

W użyciu potocznym:
«huragan, trąba powietrzna»: W gaze-
tach roiło się od wiadomości o burzach

i cyklonach, szalejących nad całym
światem, o przerażających katastrofach
na morzu. Dąbr. M. Noce IV, 229.
przen. książk.: Cyklon dźwięków
zwałił się na nich, stargał, poszarpał
dostojną ciszę miasta. Dobracz. Rozw.
186.

c) «układ barometryczny, w którym
ciśnienie spada ku środkowi i w któ-
rym panują zbieżne prądy powietrzne:
niż, depresja»

2. techn. «aparatus do oczyszczania z ku-
rzu powietrza i gazów». Szeroko stoso-
wanymi aparatami do odpylania ga-
zów są cyklony. Gaz wprowadzany jest
tutaj po stycznej, dzięki czemu nabiera
ruchu wirowego opadając spiralnie w
dół. Leszcz: Technol. 50.

3. chem. «gaz trujący będący mie-
szaniną cyjanowodoru z pewnymi
związkami chloru i bromu (używany
przez hitlerowców do masowego trucia
ofiar w obozach koncentracyjnych)».
Wiedzieliśmy, że w komorach gazowych
obozów koncentracyjnych giną miliony
ludzi, duszonych (...) „Cyklonem”.
Brosz. Feliet. 32.

(eur. z gr. kyklón = wirujący; w zna-
czeniu 3 z nm. Zyklon)

Na podstawie materiału kartoteki słownika oraz pomocniczych ma-
teriałów definicyjnych (definicja z różnych słowników i encyklopedii)
w haśle *cyklon* dają się wyodrębnić trzy znaczenia meteorologiczne, jedno
techniczne i jedno chemiczne. Definicje tych znaczeń zostały sprawdzone
przez specjalistów współpracujących z naszym Słownikiem.

¹ P. Por. Jęz. z r. 1954, z. 10, s. 1.

Odrębne rubryki znaczenia pierwszego mogłyby być sygnowane cyframi podobnie jak inne znaczenia. W danym wypadku chodzi jednak o termin specjalny o nadrzędnym w stosunku do wszystkich trzech rubryk zakresie meteorologicznym.

Wyraz *cyklon* bywa używany także w języku potocznym i w literaturze, w znaczeniu nieco odbiegającym od ścisłego znaczenia naukowego. Potocznie używamy wyrazu *cyklon* w znaczeniu huraganu, trąby powietrznej. To potoczne użycie najbliższe jest znaczeniu meteorologicznemu drugiemu, czyli b), pod którym też zostało umieszczone. W stosunku do znaczenia meteorologicznego różni się ono tylko pewnym odcieniem, jest niejako mniej dokładne a jednocześnie zacieśnione do zjawisk gwałtownego ruchu powietrza i nie zasługuje na wyodrębnienie za pomocą numeru. Jest to więc użycie potoczne terminu specjalnego różniące się od niego tylko odcieniem znaczeniowym.

Cytat z powieści Dobraczyńskiego — W rozwalonym domu — oraz te, które nie zostały umieszczone w artykule hasłowym, świadczą o tym, że wyraz *cyklon* jest używany także w znaczeniu przenośnym w stosunku do znaczenia «huragan, trąba powietrzna». Obraz przenośni jest tak żywy, iż nie wymaga objaśnienia. To przenośne użycie jest raczej książkowe, w mowie potocznej nie występuje.

Dwa znaczenia meteorologiczne (a i b), znaczenie techniczne (2) i chemiczne (3) są ilustrowane cytatami. Obfite ilustrowanie cytatami znaczeń specjalnych, w przeciwieństwie do ogólnych, nie jest konieczne. W znaczeniach ogólnych cytaty mają dokumentować głównie sposoby i zakres użycia wyrazu w danym znaczeniu szczególnie tam, gdzie jest ono nieco chwiejne. Następnie, cytaty ilustrują poprawne użycia, służą jako dokumentacja historyczna, jako dokumentacja z literatury pięknej itp. Tego rodzaju momenty estetyczne i historyczne w terminach specjalnych w grę nie wchodzi. Słownik rejestruje terminy oraz znaczenia specjalne i naukowe tylko dziś używane i dokumentuje je cytatami współczesnymi. Nie wydaje się także rzeczą zbyt ważną to, czy dany termin specjalny został użyty przez poetę lub literata w jakimś utworze. Oczywiście, nie chodzi tu o użycia przenośne, które słownik rejestruje. Ilustracja cytatowa znaczeń specjalnych ma na celu uzupełnianie definicji jakimiś nowymi, dodatkowymi informacjami nie zawartymi w definicji. A więc cytat z Wiedzy Powszechnej uzupełnia definicję, podobnie jak cytat umieszczony pod znaczeniem technicznym. Cytat z Czeluski J. Cz. Centkiewicza wskazuje teren, na którym występują cyklony. Cytat umieszczony pod znaczeniem meteorologicznym b) potwierdza nieogłoszoność definicji. Wagę historyczną ma cytat ilustrujący znaczenie ostatnie.

Słownikarz jest w równej mierze odpowiedzialny za te cytaty, które umieścił w artykule hasłowym, jak i za te, które pominął. Dlatego nie

od rzeczy będzie zaznajomienie Czytelnika z cytatami pominiętymi w artykule hasłowym.

Pod znaczeniem meteorologicznym a) nie umieszczono następującego cytatu: „Wybrzeże Kamczatki i Morza Ochockiego ogarnął cyklon.“ J. Cz. Centkiewicz, Czeluskin, str. 72. Cytat ten mniej mówi o *cyklonie* od tego, który został umieszczony pod pierwszym znaczeniem meteorologicznym. Ponadto z zasady unika się dwukrotnego cytowania jakiegoś autora pod tym samym znaczeniem. Następujący cytat z „Rocznika Literackiego“, rok 1935, str. 210: „Książka Bohomolca [Andrzeja — o podróży morskiej] plastycznie maluje te zmagania się załogi jachtu ze sztormami i cyklonami na Atlantyku“ — nie jest wyrazisty. Nie ma pewności o jaki typ cyklonu tutaj chodzi, a prócz tego konieczny dopisek redakcji w nawiasach kwadratowych szpeci cytat czyniąc go mniej czytelnym. Cytat: „Prując wzburzone wody dudniącą turbiną, nie zawrócą przed byle wyjącem cyklonem.“ — A. Słonimski, Poezje, str. 181, wyrwany z szerszego kontekstu jest mało ilustratywny. Podobnie rzecz przedstawia się z następującym cytatem z Hymnów Kasprowicza, str. 2: „Pędzi duch ludzki i naprzód, i wstecz, niby garść kurzu, porwana cyklonem“. O ile zdanie to ma swoje uzasadnienie w poezji, o tyle wyrwane z niej jest ułamkiem tylko myśli autora i nie nadaje się do cytowania w Słowniku. Bardziej ilustratywnym i ekspresywnym wydaje się zamieszczony w haśle cytat Dobraczyńskiego (w użyciu przenośnym) od następującego cytatu z książki St. Witkiewicza pt. Aleksander Gierymski, str. 41, pominiętego w artykule hasłowym: „Właśnie robiono trzeźwy i surowy rachunek z romantyzmem, ze wszelkimi marzeniami i wskazywano ruiny, którymi zasypane były drogi życia społecznego, po przejściu cyklonu poezji“.

Pewien kłopot sprawia użycie wyrazu *cyklon* przez Kaczkowskiego w takim zdaniu: „Czy okręt się dobije do brzegu? Czy zginie w bezdennej głębi cyklonów? Nikt nie wie.“ — Olbrachtowi rycerze, t. II, str. 113. Znaczenia «wir wodny» wyrazu *cyklon* słowniki nasze nie notują. Wobec czego to użycie wyrazu *cyklon* można traktować jako indywidualne lub uważać za pomyłkę. To rozstrzyga o niecytowaniu tego przykładu w haśle *cyklon*. Zresztą cały urywek, w którym mieści się to zdanie w powieści Kaczkowskiego, jest obszerną metaforą. Okręt, brzeg i *cyklon* są tu tylko pewnymi symbolami. Cytowanie więc takiego przykładu (nawet gdyby był poprawny) byłoby nieściśle i wprowadzałoby czytelnika w błąd.

Co do podanego na końcu hasła objaśnienia etymologicznego, to *eur.* jest skrótem wyrazu „europeizm“, przez który rozumie się wyraz występujący w kilku językach europejskich. Mamy tu na myśli przede wszystkim języki: rosyjski, niemiecki, francuski i angielski. Wyraz *cyklon* występuje w tych czterech językach (ros. *циклон*, niem. *Zyklon*, *Zyklone*, fr. *cyclone*, ang. *cyclone*). Objaśnienie etymologiczne wyrazu *циклон*, *eur.*

z gr. *kyklón* zatem mówi nam, że wyraz ten znany jest w językach europejskich, i że tą drogą dostał się do języka polskiego, a w językach europejskich lub w jednym z nich (najpierw) został utworzony od greckiej formy *kyklón*. Innymi słowy skrót *eur.* w objaśnieniu etymologicznym uzasadniony jest tam, gdzie mamy do czynienia z wyrazem pochodzenia (najczęściej) greckiego lub łacińskiego, a który zapożyczony został do języka polskiego nie wprost, lecz drogą pośrednią, z któregoś z języków europejskich. Znaczenie trzecie wyrazu *cyklon* jest odpowiednikiem jednego ze znaczeń tego wyrazu w języku niemieckim.

W Słowniku Warszawskim hasło *cyklon* zajmuje zaledwie 5 wierszy. Przedstawia się ono następująco:

CYKLON, u, lm y gie. l. w og. «ruch wirowy powietrza dokoła najmniejszości barometrycznej, wiatr biegnący po drogach kołowych» 2. «gwałtowna bu-

rza wirowa, przeważnie w okolicach zwrotnikowych».

(Now. z gr. *kýklos* = koło)

(Skrót *gie.* w S. W. znaczy «geograficzny», w og. «w ogóle», now. «w nowszych czasach dowolnie utworzony»).

Słownik Lindego wyrazu *cyklon* nie notuje.

Hipolit Szkiłdź

SŁOWNIK OKSFORDZKI

Słownik oksfordzki (Oxford Dictionary) jest najpełniejszym źródłem leksykograficznym angielskim, obejmującym 12 tomów formatu B-4 o łącznej liczbie 15.487 stron. Wydawano go zeszytami zawierającymi około 400 stron każdy, zeszyty te połączono w r. 1928 w 10 tomów; następne, o ile nam wiadomo, ostatnie wydanie było przedrukiem pierwszego, oprawionym w 12 tomów, z dodatkiem Suplementu jako tomu 13, liczącego 866 stron.

Praca nad Słownikiem oksfordzkim trwała od roku 1857 do 1928, sam druk ciągnął się 45 lat. Historia powstawania tego wydawnictwa, szczegółowo opisana w przedmowie, jest dość ciekawa. Projekt wyłonił się w roku 1857, gdy grono miłośników języka zwróciło uwagę na braki w leksykografii angielskiej. Towarzystwo Filologiczne powołało wówczas komitet, który postanowił opracować Suplement do istniejącego już słownika angielskiego. Sporządzono instrukcję roboczą, wskazówki dla zbieraczy, spis wyjściowy źródeł cytatów. Pracę rozpoczęto dość energicznie i dopiero po upływie czterech lat komitet redakcyjny zorientował się, że

suplementem do istniejącego już słownika nie wypełni się luki w tym dziale¹.

Postanowiono więc stworzyć niewielki, parotomowy słownik i zwolnić tempo pracy, nie było bowiem kredytów: żadna instytucja nie chciała ryzykować większych sum, udzielano tylko drobnych wsparć. Dopiero po 20 latach od rozpoczęcia pracy Towarzystwu Filologicznemu udało się zawrzeć umowę z koncernem prasowym Clarendon Press i od roku 1878 praca nad Słownikiem oksfordzkim weszła na właściwe tory.

Fachowców było niewielu, finanse dość szczupłe, korzystano więc w dużej mierze z sił amatorskich. W roku 1879 komitet redakcyjny wysłał apel do 1500 osób z prośbą o zbieranie materiału. W szczegółowej instrukcji dla zbieraczy, czyli ekscerptorów, czytamy:

„Odnotuj każdy wyraz, który ci się wydaje rzadki, przestarzały, staroświecki, nowy, dziwaczny lub użyty w osobliwy sposób.

Odnotuj każdą wzmiankę w książce wskazującą na to, że wyraz jest nowy lub wymagał wyjaśnienia, bo w ten sposób dopomożesz do ustalenia jego historii.

Wybieraj jak najwięcej cytatów z wyrazami pospolitymi, zwłaszcza użytymi w odmiennym od potocznego znaczeniu, i staraj się według kontekstu podać wyjaśnienie tego znaczenia (...)“.

Spośród osób, do których to wezwanie zostało skierowane, około 800 stanęło do pracy i wiele z nich dotrwało w niej do końca.

Segregowaniem, a często i przepisywaniem cytatów zajmowali się bezpłatnie amatorzy. Honorowo pracowali też kontrolerzy, których zadaniem było sprawdzanie po bibliotekach wątpliwych cytatów, bezpłatnie dopomagali specjaliści z licznych dziedzin nauki i techniki. Korekty pierwszych odbitek składu robili amatorzy interesujący się słownictwem, ich pomoc okazała się niezmiernie cenna, gdyż wyławiali dużo błędów merytorycznych i technicznych. Niejeden z takich miłośników języka pracował kilkanaście, a nawet dwadzieścia kilka lat.

Sztab redakcyjny płatny składał się z redaktora naczelnego, redaktorów i asystentów. Początkowo było dwóch redaktorów, mających do pomocy po 6—7 asystentów, później czterech redaktorów, z których każdy wraz ze swymi pomocnikami pracował nad innym tomem. W pracy asystentów zastosowano ścisłą specjalizację. Jedni zajmowali się tylko defi-

¹ Zachodzi tu pewne podobieństwo pomiędzy początkami Słownika oksfordzkiego a pierwszym etapem pracy nad Słownikiem współczesnego języka polskiego. Tu również rozpoczęto od opracowywania suplementu do Słownika warszawskiego, którego ostatni tom ukazał się w r. 1927. Jednak redakcja już po kilku miesiącach odstąpiła od tego projektu, gdyż przestarzały Słownik warszawski nie mógł stanowić trzonu dla żadnego nowoczesnego źródła leksykograficznego. Wyzyskując materiał i doświadczenie z tego początkowego okresu, redakcja przestawiła się na całkowicie nową koncepcję.

nicjami, drudzy etymologią, trzeci badali historię wyrazów, byli tacy, co się specjalizowali w wyszukiwaniu odcieni znaczeniowych, w historycznych przemianach znaczeń, w korekcie stylistycznej i technicznej.

Pierwsza wojna światowa przerzuciła szeregi pracowników i poważnie zahamowała robotę. Większość redaktorów, asystentów i amatorów powróciła jednak do pracy po roku 1917 i odtąd słownik zaczął wychodzić regularnie. Po ukończeniu ostatniego tomu, czyli w r. 1928, Akademia Brytyjska wybiła medal pamiątkowy z podobizną pierwszego redaktora naczelnego Słownika oksfordzkiego.

Pracę nad Suplementem prowadzono od chwili rozpoczęcia druku pierwszego zeszytu. Tu również wydatnej pomocy udzieliło społeczeństwo, rejestrując nowe wyrazy i znaczenia. Ponieważ, jak już wspomnieliśmy, druk trwał 45 lat, trzeba było uzupełnić zasób wyrazowy mnóstwem terminów z zupełnie nowych dziedzin wiedzy i techniki. Ponadto Suplement podaje hasła zawarte w podstawowym słowniku, jeżeli wymagają skorygowania i uzupełnienia. Szkoda tylko, że w wydaniu z 1933 roku nie zasygnalizowano jakimś znakiem przyhasłowym, że należy zajrzeć do suplementu, aby znaleźć uzupełnienie lub poprawkę do danego hasła. Nie jest to technicznie zbyt trudne, nawet jeżeli się drukuje z przechowanej matrycy, ale oczywiście wymaga pewnego wkładu pracy.

Pomimo ogromnego zasięgu czasowego, pomimo szerokiego korzystania z pracy amatorów, Słownik oksfordzki jest wydawnictwem zwartym, przemyślanym i dość dobrze ujednoliconym. Zawiera całokształt mowy angielskiej od roku 1250 do lat trzydziestych dwudziestego wieku. Podaje wszystkie wyrazy i formy angielskie, a z wyrazów nieangielskich te, które należą do bardziej potocznego języka naukowego. Nie umieszczono terminów, których nie można objaśnić w sposób zrozumiały dla czytelnika.

Materiał hasłowy daje się podzielić na 3 grupy:

1. Hasła podstawowe: a) pojedyncze wyrazy i ich pochodne, b) połączenia wyrazów, które ze względu na swoją wagę, znaczenie lub historię zasługują na wyodrębnienie.
2. Hasła dodatkowe (podawane mniejszym drukiem), tj. wyrazy przestarzałe, błędne i indywidualizmy.
3. Połączenia wyrazowe tak zrozumiałe, że nie zasługują na wyodrębnienie — podawane pod wyrazem hasłowym przy końcu artykułiku hasłowego.

Układ artykułiku hasłowego przedstawia się w sposób następujący:

- I. Hasło podawane jest w pisowni obowiązującej, wyrazy archaiczne i przestarzałe w pisowni z ówczesnej doby i opatrzone krzyżykiem. Wyrazy obce nie przyswojone — w pisowni języka, z którego są zaczerpnięte, z wymową w nawiasie.

- II. Bezpośrednio po hasła następują wskazówki gramatyczne, kwalifikatory, dawna wymowa lub pisownia.
- III. Wskazówki etymologiczne, umieszczone w kwadratowym nawiasie, obejmują pochodzenie, historię i przemiany form danego wyrazu w języku angielskim.
- IV. Definicje i odcienie znaczeniowe definiowane. Wyraźną tendencją Słownika jest syntetyzowanie, na czele podawana jest zawsze definicja jak gdyby nadrzędna, łącząca większą liczbę elementów, dopiero później następuje rozdrabnianie znaczeniowe.
- V. Cytaty. Spis bibliograficzny dzieł, z których korzystano przy cytowaniu, zajmuje 91 stron drukowanych nonparelem. Kartoteka cytatorów zawierała około 5 milionów cytatów, z których umieszczono około 1.800.000.

—:—

Dzieje Słownika oksfordzkiego, tego podstawowego w leksykografii angielskiej wydawnictwa, nasuwają nam pewne refleksje. Godne uznania jest to gorące umiłowanie języka ojczystego, które sprawiło, że tysiące osób oddawało swoją pracę bezimiennie i bezinteresownie, przez dziesiątki lat, aby słownik był jak napełniejszy i najdoskonalszy. Ale też ta metoda „pospolitego ruszenia“ leksykograficznego powodowała, że praca nad słownikiem trwała przeszło 70 lat. W naszych warunkach pomoc finansowa Państwa zapewnia możliwość zorganizowania systematycznej pracy zbiorowej i planowanie jej ukończenia w wielokrotnie krótszym terminie.

Z. Lempicka

P. S.: Redakcja Słownika byłaby wdzięczna każdemu z czytelników „Poradnika“ za wszelkie uwagi dotyczące czegokolwiek w zakresie spraw słownikowych. W tym właśnie celu ogłaszamy w „Poradniku“ przykłady opracowań hasłowych, pragnąc wywołać jak najszerszą dyskusję.

Przy sposobności dziękuję ob. Strumińskiemu za nadesłane mi uwagi dotyczące hasła *brać* w mojej pracy „Z zagadnień leksykografii polskiej“.

W. D.

DWIE KONCEPCJE SŁOWNIKÓW NIEALFABETYCZNYCH

Alfabetyczny układ słowników jest oparty na konwencjonalnej kolejności liter alfabetu, co pozwala na łatwe odszukanie dowolnego artykułu hasłowego. Jednakże układ ten nawet w tym względzie nie jest doskonały, gdyż znając wyraz jedynie w postaci dźwiękowej można niekiedy mieć wątpliwości, gdzie należy tego wyrazu szukać. Np. w języku polskim wskutek ubezdźwięcznienia się dźwięku *h* ktoś, znający tylko dźwiękową postać wyrazu, mógłby zastanawiać się gdzie ma szukać w słowniku alfa-

betycznym wyrazów *h e r b a t a i c h a ł u p a*. Układ ten nie zdaje egzaminu także przy alfabetycznym porządkowaniu wielowyrzawowych jednostek leksykalnych, toteż o miejscu przytaczania idiomatyzmów w słowniku najczęściej decyduje wyraz, wokół którego koncentruje się zwrot.

Przy takim układzie artykuł hasłowy omawia wyraz, jego znaczenia i użycia w zupełnej izolacji. Poprzednie i następne artykuły mogą dotyczyć rzeczy treściowo zupełnie się z nim nie wiążących.

Jeżeli słownikowi stawia się za cel jedynie podanie znaczeń wyrazów, układ alfabetyczny jest w zupełności wystarczający. Jeżeli natomiast chce się, żeby słownik informował czytelnika o desygnatach, o ich związkach między sobą, żeby informował o życiu i ułatwiał pogłębianie wiedzy o świecie, to niewątpliwie należy szukać innych rozwiązań.

Na terenie Niemiec Hermann Paul krytykując pierwsze tomy słownika Jakuba i Wilhelma Grimmów pisał: „Skoro uznało się, że słownik ma być nie tylko pomocą w lekturze, lecz także dziełem o wartości naukowej, należy uznać za postęp wszystko, co prowadzi od zewnętrznego, przypadkowego, alfabetycznego układu do grupowania odpowiadającego związkom rzeczowym.“¹

Gniazdowanie haseł nie jest wystarczającym odstępstwem od układu alfabetycznego. Względ na pokrewieństwo genetyczne wyrazów krzyżuje się tu z momentami czysto technicznymi dotyczącymi redakcji artykułów hasłowych. W obszerniejszych słownikach zarzuca się taki układ. Omawianie zasobu leksykalnego według rdzeni praktykowane jest i powszechnie stosowane tylko w słownikach etymologicznych.

W r. 1910 H. Tiktin w namyślnym artykule pt. „Słowniki przyszłości“² nawołuje do opracowywania słowników o układzie rzeczowym, uważając, że słownik taki „byłby kopalnią wiedzy dla badań leksykalnych“. Krytykując definicje podawane w różnych słownikach niemieckich dochodzi także do przekonania, że słowniki powinny być ilustrowane i powinny zawierać wiadomości encyklopedyczne³.

Słowniki niealfabetyczne nie są nowością. Zwłaszcza w dobie odrodzenia powstało wiele słowników o układzie rzeczowym, będących przeglądem nie tylko ówczesnego słownictwa, ale także wiedzy o świecie⁴. Istniały też tworzone dla celów czysto praktycznych słowniki synonimicz-

¹ Hermann Paul: „Über die Aufgaben der wissenschaftlichen Lexikographie mit besonderer Rücksicht auf das deutsche Wörterbuch“, Sitzungsberichte der philosophisch-philologischen und der historischen Classe der k. b. Akademie der Wissenschaften zu München, 1894, s. 91.

² H. Tiktin: „Wörterbücher der Zukunft“, Germanisch-Romanische Monatsschrift 2 (1910), s. 243—253.

³ Powszechnie wiadomo, że słowniki tego typu, np. Larousse, Webster, są bardzo praktyczne.

⁴ W Polsce w r. 1526 w Krakowie u Wietora wydany został „Dictionarius Joannis Murmelli variarum rerum“ o układzie rzeczowym.

ne najczęściej wzorowane na dziele Rogeta⁵. W słowniku synonimicznym narzucającym się układem jest układ rzeczowy.

W r. 1920 niemiecki greclista Franz Dornseiff zapowiedział zestawienie zasobu leksykalnego języka greckiego według grup rzeczowych. Zamiaru tego nie wykonał, ponieważ takie opracowanie zasobu leksykalnego martwego języka nastroczało bardzo wiele trudności⁶, natomiast w r. 1934 ukazał się jego słownik języka niemieckiego tego typu⁷.

Słownik ten został opracowany dla celów językoznawczych, jednakże może także oddawać pewne praktyczne usługi. Słownik opatrzony został wstępem, w którym Dornseiff umieścił dokładne dane dotyczące istniejących już słowników niealfabetycznych i obszerną bibliografię prac omawiających poszczególne działy słownictwa różnych języków oraz sformułował podstawy teoretyczne swojego słownika. Dzieło to, jak pisze autor, zawdzięcza swe istnienie kierunkowi zwanemu w Niemczech „Bezeichnungslehre“ (onomazjologia)⁸. Dornseiff uważa, że w badaniach leksykalnych należy wychodzić od przedmiotów i dochodzić do nazw. Wyrazy traktuje on jako proste znaki przedmiotów. Proces mówienia sprowadza do wyboru jednego znaku spośród wielu możliwych znaków jakiegoś przedmiotu (Synonymenwahl), proces zmian znaczeniowych — do przesunięć synonimicznych (Synonymenschub).

Niewątpliwie słuszne jest twierdzenie Dornseiffa, że nazwy przedmiotów należy badać w bardzo ścisłym związku z desygnatami, jednakże w badaniach leksykalnych należy uwzględniać także rolę myśli wyodrębniającej z otaczającej człowieka rzeczywistości poszczególne przedmioty. Pomija to zupełnie Dornseiff⁹.

Konsekwencją stanowiska teoretycznego Dornseiffa jest układ jego słownika. Dornseiff właściwie grupuje przedmioty i pojęcia oraz zestawia znaki, którymi są one nazywane. Na przykład słownictwo z zakresu botaniki podane jest w układzie odpowiadającym naukowej systematyce roślin. Autor wykracza także poza znaki językowe. I tak na przykład pod pojęciem „Warnung“ (ostrzeżenie) znajdujemy najpierw kilka znaków drogowych stosowanych jako ostrzeżenia przed przejazdami drogowymi,

⁵ Peter Mark Roget: „Thesaurus of English Words and Phrases“, London 1852.

⁶ We wstępie do słownika niemieckiego (zob. odsyłacz 7) Dornseiff pisze, że słownik grecki opracuje nie wcześniej niż w r. 1950.

⁷ Franz Dornseiff: „Der deutsche Wortschatz nach Sachgruppen“, Berlin und Leipzig 1934, s. 111 — XIV — 509.

⁸ Kierunek ten zdobywa sobie coraz więcej zwolenników. O historii i metodach badań zob.: Bruno Quadri „Aufgaben und Methoden der onomasiologischen Forschung“, Bern 1952.

⁹ W dyskusji nad referatem Georga Fr. Meiera o związku języka i myślenia Dornseiff wypowiedział się, że związek ten jest niewątpliwy, jednakże nic naukowo uzasadnionego o nim nie wiemy. Zob. Wissenschaftliche Zeitschrift der Karl Marx Universität, Leipzig Jg 1952/53 zes. 9/10, s. 633.

zakrętami, skrzyżowaniami itp., następnie czerwone światło jako znak ostrzegawczy, potem dopiero znaki językowe — wyrazy.

Materiał językowy podaje autor w następującej kolejności: 1. Wykrzykniki, 2. Partykuły, 3. Przyimki, 4. Spójniki, 5. Przysłówki, 6. Czasowniki, 7. Przymiotniki, 8. Rzeczowniki. Kilkadziesiąt tak uporządkowanych grup wyrazowych tworzy dział. Działów tych jest dwadzieścia, uszeregowanych w sposób następujący: od pojęć apriorycznych (czas, przestrzeń, położenie, wielkość, ilość), przez świat zewnętrzny (światło, barwy, temperatura, świat nieorganiczny, rośliny, zwierzęta, części ciała człowieka) do zjawisk subiektywnych (wola i działanie człowieka, cechy charakteru, myśl, życie społeczne, kultura, język, piśmiennictwo, sztuka, stosunki społeczne, technika, gospodarka, prawo i etyka, religia, zjawiska ponadnaturalne).

Słownik oparty na takich założeniach teoretycznych i tak porządkujący słownictwo nie odpowiada innemu uczoneму niemieckiemu, romanście Waltherowi von Wartburgowi. Już w r. 1937 zapowiada on opracowanie systemu, który stałby się podstawą układu słowników niealfabetycznych¹⁰. Jednak dopiero w r. 1952 wespół ze swoim uczniem, profesorem uniwersytetu w Getyndze, Rudolfem Halligiem, ogłasza drukiem próbę takiego systemu¹¹. Koncepcję swoją opiera na dwóch podstawowych tezach Humboldta:

1. Język służy nie tylko wyrażaniu i komunikacji, lecz także tworzy między człowiekiem a światem świat duchowych treści (Zwischenwelt geistiger Inhalte);

2. Wszystkie środki językowe tworzą zamkniętą całość, system, w którym każda część warunkuje inne części i jest przez nie wyznaczana.

Hallig i Wartburg uważają, iż w świetle tych tez zdecydowanie upada koncepcja alfabetycznego układu słowników.

Autorzy stawiają sobie za cel rozwiązanie dwóch zagadnień:

1. co porządkować. 2. jak porządkować.

Odpowiadają na to w ten sposób:

1. porządkowane mogą być tylko pojęcia (Begriffe); pojęciom tym ma być podporządkowane słownictwo jakiegoś języka lub dialektu;

2. należy porządkować pojęcia wywodzące się z nienaukowego poznania przeciętnego człowieka; pojęcia naukowe mogą być tylko uzupełnieniem tamtych;

3. do schematu pojęć autorzy mają zamiar włączyć tylko pewien ich wybór —;

¹⁰ Walther von Wartburg: „Betrachtungen über die Gliederung des Wortschatzes und die Gestaltung des Wörterbuches“. Zeitschrift für romanische Philologie 47 (1937), s. 296 — 313.

¹¹ Rudolf Hallig und Walther von Wartburg: „Begriffssystem als Grundlage für die Lexikographie. Versuch eines Ordnungsschemas“ Berlin 1952, s. XXXV — 140.

4. pojęcia należy uporządkować według jednolitej zasady i porządkowanie to musi być przeprowadzone w ten sposób, by tworzyły one jednolitą, zamkniętą całość.

Rozważania swoje zaczynają autorzy od wyrazu. Dostrzegają oni konflikt jednostkowości i ogólności w znaczeniu wyrazu¹². W każdej realizacji, w każdej wypowiedzi występuje jednostkowe, okazjonalne znaczenie wyrazu. Natomiast przez stałe komunikowanie się przy pomocy wyrazów z czasem wytwarza się pojęcie (Begriff). Pojęcie to odrywa się następnie od znaczenia wyrazu. Autorzy przyznają pojęciu byt niezależny oraz relatywną stałość. Znaczenia zmieniają się, pojęcia — nie, mogą być tylko zastępowane przez inne. Znaczenia przeżywa się i można je opisać, pojęcia są uświadamiane i można je definiować¹³.

Te właśnie „oderwane już od znaczeń pojęcia“ (bedeutungsentbundene Begriffe) wraz z „przepojonymi znaczeniem treściami“ (bedeutungsdurchtränkte Inhalte) tworzą system mający stać się podstawą układu słownika. „Przepojone znaczeniem treści“ są jakby zastępstwem pojęć, które nie wytworzyły się jeszcze ze znaczeń albo których proces wydzielania się został zahamowany. Autorzy za L. Klagesem¹⁴ stwierdzają, że ze znaczenia niektórych wyrazów pojęcie wytworzyć się nie może „...nicht alle Wörter (...) „Begriffsfähige Wörter“ sind“¹⁵.

Pojęcia tworzące system mają być pojęciami nienaukowymi (przednaukowymi: vorwissenschaftliche Begriffe), które wytwarza sobie przeciętny człowiek nie przez naukowe poznanie świata, lecz przez refleksje językowe¹⁶.

Subiektywny idealizm autorów jest aż nazbyt widoczny. Istnieją dla nich pojęcia mające idealny, niezależny od człowieka byt. Język jest jedynie realizacją tych idei zawieszonych gdzieś między „ja“ a światem zewnętrznym. Idealistyczne sformułowania myśli autorów są bodaj bardziej jaskrawe niż u głównego „winowajcy“, na którym opierają się autorzy — Humboldta.

Pojęcia dzielą autorzy omawianej pracy na trzy zasadnicze grupy: świat, człowiek, człowiek a świat. Ośrodkiem konstrukcji systemu jest zatem człowiek. Wokół człowieka traktowanego jako zjawisko fizyczne, jako istota myśląca i byt społeczny zgrupowane są przedmioty bardzo

¹² Prof. Doroszewski widzi w konflikcie jednostkowości i ogólności w znaczeniach wyrazów centralne zagadnienie semantyki; w książce „Z zagadnień leksykografii polskiej“ (Warszawa 1954) poświęca temu zagadnieniu osobny rozdział.

¹³ Por. Julius Stenzel: „Sinn, Bedeutung, Begriff, Definition“, Jahrbuch für Philologie I, 1925, s. 161.

¹⁴ L. Klages: „Die Sprache als Quell der Seelenkunde“, Zurich 1948, s. 30.

¹⁵ R. Hallig, W. Wartburg, Begriffssystem als Grundlage für die Lexikographie, s. XI.

¹⁶ Por. K. Erdmann: „Die Bedeutung des Wortes“ wyd. 2 Leipzig 1919, zwłaszcza s. 5, 37.

ściśle z człowiekiem związane i wytwarzane przez niego. Znajdą się tutaj także instytucje społeczne, które są przecież też tworem człowieka. Są tu działy pojęć odnoszących się do pracy człowieka, komunikacji, organizacji życia państwowego i uczuć ludzkich.

W grupie A, Świat, umieszczają autorzy pojęcia dotyczące ciał niebieskich i atmosfery, ziemi z jej lądami, morzami i minerałami, a także roślin i zwierząt. Dział roślin i zwierząt uporządkowany jest nie jak u Dornseiffa zgodnie z systematyką naukową, lecz według tego, jakby to widział przeciętny człowiek. Znajdziemy tu więc takie grupy jak na przykład zboża, pasze, zioła lecznicze, rośliny ozdobne, drzewa, krzewy a nawet znajdzie się specjalna grupa dotycząca roślin egzotycznych. W dziale zwierząt wyróżnione zostały grupy pojęć dotyczące zwierząt domowych, zwierząt lądowych i zwierząt żyjących w wodzie a także zwierząt egzotycznych.

Na trzecią grupę Człowiek a świat składają się działy: a priori obejmujący pojęcia dotyczące kształtów, form, relacji między przedmiotami, także czasu, przyczynowości, ruchu itp. oraz nauka i technika, gdzie znajdują się pojęcia z zakresu wszystkich nauk oraz techniki i przemysłu opartych na najnowszych jej osiągnięciach, jak zwłaszcza przemysł chemiczny, farmaceutyczny, elektrotechniczny i atomowy.

Autorzy stwierdzają, że każdy układ jest subiektywny i zależny od poglądu na świat opracowujących go. Uważają jednak, iż stworzyli system pojęć, który można wypełnić słownictwem każdego języka lub dialektu. Szkoda, że nie podali dla przykładu opracowania słownictwa odnoszącego się choćby do jednego małego działu lub nawet do kilku pojęć.

Układ słowników według grup znaczeniowych jest bardziej racjonalny niż układ alfabetyczny, umożliwia bowiem systematyczne podanie zasobu leksykalnego języka¹⁷; nie jest jednak doskonały. Ze słownika takiego można wprawdzie dowiedzieć się jak się nazywają rzeczy, ale opracowanie jego układu nastęrcza bardzo poważne trudności. W takim słowniku rozpraszałyby się także poszczególne znaczenia wyrazów. Znaczenia te bowiem mogłyby się znaleźć w kilku różnych działach.

Dlatego też biorąc pod uwagę to, że wyraz jest często jedynym łącznikiem między komunikującymi się ludźmi, warto pozostać — zwłaszcza w dużych słownikach — przy układzie alfabetycznym i opatrzyć taki słownik indeksem rzeczowym. Indeks taki miałby wszystkie najważniejsze zalety słowników rzeczowych, dawałby mianowicie systematyczny przegląd słownictwa z różnych dziedzin i to bardziej przejrzysto, gdyż słow-

¹⁷ W innych państwach ukazały się także słowniki o układzie rzeczowym np.: Ch. Maquet: „Dictionnaire analogique“ Paris 1936 i J. Casares: „Diccionario ideológico de la lengua española“; Barcelona 1942.

nictwo z jakiejś dziedziny zestawione na jednej stronie możliwe byłoby do ogarnięcia wzrokiem, co jest zupełnie nieosiągalne w obszernym słowniku opatrzonym definicjami i cytatami, w którym często jeden artykuł hasłowy zajmuje wiele szpalt.

Indeks taki umożliwiałby obserwowanie zjawisk językowych odbijających powiązania przedmiotów w otaczającej nas rzeczywistości. Mógłby też być cenną pomocą przy porównywaniu poszczególnych działów słownictwa różnych języków i dialektów. Oddawałby także usługi w pracy pedagogicznej nad przyswajaniem zasobu leksykalnego języka ojczystego, mógłby także być pożyteczny dla pisarza i tłumacza jako swego rodzaju słownik synonimiczny.

Józef Wierchowski

KŁOPOTY TŁUMACZA

I

Autor niniejszej rozprawki pojmuje swoje wystąpienie dwojako: jako skromny przyczynek do wcale obfitej literatury teoretycznej dotyczącej sztuki przekładu oraz jako garść wysnutych z własnego doświadczenia wskazówek praktycznych na użytek debiutantów (a może i nie samych tylko debiutantów...) podejmujących się tej trudnej i odpowiedzialnej pracy.

Zanim wszakże przystąpię do analizy zapowiedzianych w tytule kłopotów tłumacza, śpieszę podkreślić z naciskiem, że tych kłopotów jest mnóstwo, że, spowiadając się z nich, będę się nad nimi mozolić — no i nieco nawet chwilami biadolić... lecz tłumacz musi przede wszystkim o tym pamiętać, że w naszym gotowym już utworze, kiedy go prezentujemy publiczności, nie powinno być ani śladu tych zmagania. Każdy przecie na pewno się zgodzi, iż najmiłszym komplementem, najwyższą pochwałą dla tłumacza jest ocena stwierdzająca, że pracę jego czyta się tak, jak gdyby to nie było tłumaczenie, lecz polski utwór oryginalny. Jest to — innymi tylko wyrażona słowami — podstawowa teza angielskiego teoretyka sztuki tłumaczenia Tytlera, którego cytuje w swym znakomitym studium o Boyu-Żeleńskim prof. Wacław Borowy. Ta definicja (choć zrodziła się w wieku XVII) wydaje mi się wybitnie trafna i całkowicie odpowiadająca nowoczesnym poglądom. Zawiera się ona w trzech punktach: 1) przekład powinien wiernie i całkowicie oddawać treść oryginału; 2) powinien być utrzymany w tym samym stylu co oryginał; 3) powinien mieć swobodę kompozycji oryginału. Musimy dążyć do zasłużenia na ową pochwałę, przedstawiając czytelnikowi pracę naszą w postaci swobodnej, naturalnej — podobnie jak wirtuoz na estradzie musi pokonywać wszelkie

trudności mechaniczne bez widocznego dla publiczności wysiłku, podporządkowując zwycięsko opanowaną technikę swego instrumentu wyższemu celom wyrazu artystycznego i oddając się już wyłącznie interpretacji wewnętrznej treści wykonywanego utworu.

Powtórzmy sobie więc jeszcze raz kapitalne sformułowanie Tytlera — właściwie trzeciego punktu, którego przestrzeganie jest bodaj najważniejsze i najtrudniejsze: przekład powinien mieć swobodę kompozycji oryginalnej. „Niełatwo — zauważa autor — okazywać wdzięk i niewymuszoność temu, kto musi iść w okowach“. A okowy — to są właśnie dla tłumacza dwa pierwsze punkty: przekład powinien dobrze i całkowicie oddawać treść oryginału oraz być utrzymany w tym samym stylu. Czyli, że trzeba osiągnąć wywołanie takiego samego wrażenia, jakie wywiera oryginał, z konieczności posługując się odmiennymi środkami (a nieraz i odmienną metodą); to zaś doprawdy niełatwe zadanie. Do spełnienia go nie wystarcza najlepsza nawet znajomość obydwu wchodzących w grę języków połączona z erudycją i kulturą; niezbędny tu trudniej już wymierny warunek: talent literacki. Do tej sprawy zresztą będę miał jeszcze sposobność powrócić. Tutaj to memento wstępne pragnę zakończyć zacytowaniem głębokiej uwagi świetnego myśliciela i estety francuskiego Joseph Joubert (1754—1824). Spostrzeżenie sformułowane przez niego dotyczy pracy pisarza, a więc, rzecz prosta, stosuje się i do tłumacza literackiego, uzupełniając tezy Tytlera. Otóż Joubert powiada: „Pour bien écrire il faut une facilité naturelle et une difficulté acquise“ (żeby dobrze pisać, trzeba mieć wrodzoną łatwość i nabytą trudność).

II

Przejdźmy teraz do sedna sprawy: do kłopotów tłumacza. Czyhają one na niego na każdym kroku. Na każdym — poczynając już od pierwszego: od tytułu. Rzecz to bynajmniej nie błaża czy drugorzędna, skoro tytuł stanowi (a przynajmniej stanowić powinien) integralną część utworu, lecz nieraz zawiera bądź syntetyczny skrót jego ideologii, bądź ma jakiś sens symboliczny, zmierzając do wywołania w czytelniku swoistego nastroju czy skojarzenia. A nadto nie chodzi przecie tylko o ogólny tytuł dzieła, lecz i poszczególnych jego partii i rozdziałów, których niekiedy bywa bardzo dużo, jak na przykład w ogromnej powieści Wiktora Hugo, „Les misérables“, czy „Rouge et noir“ Stendhala albo w niektórych utworach Dickensa.

Toteż tłumacz powinien przede wszystkim — jak to właśnie zalecali moi poprzednicy — dokładnie wczuć się w klimat utworu. Musi też dobrze wyczuć: do jakiej granicy może doprowadzić ścisłość transpozycji tekstu oryginalnego. Stąd w pewnych — najszcześniejszych — wypad-

kach trafia się tytuł — „samograj“, tytuł jednowyrazowy czy kilkuwyrazowy, który niejako automatycznie wykląda się dosłownie („Dym“, „Wojna i pokój“, „Ojcowie i dzieci“, „Burza“, „Pustynia miłości“), w innych tę dosłowność należy — ze względu bądź na poprawność gramatyczną bądź na eufonię — ograniczyć, czasem wręcz rezygnując ze ścisłej wersji (wtedy wypada w nawiasie podać tytuł w brzmieniu oryginalnym); w jeszcze innych tytuł wielowyrazowy ściągamy w lapidarne zdanie lub nawet w jedno słowo, albo — co, niestety, prawie zawsze osłabia walor treściowy lub plastykę — zmuszeni jesteśmy, odwrotnie, jeden wyraz oryginału zastępować dwoma czy trzema lub nawet całym omówieniem, całą frazą.

O potknięcie się w tytule wcale nie trudno. A — zgodnie z jakimś osobliwym prawem szablonu rządzącym w świecie czytelnictwa przyswajaniem tekstów drukowanych — nieraz zupełne potworki wywalczają sobie pozycję niebywale, niestety, trwałą.

Typowym na przykład kiczem przekładowym jest „La dame aux camélias“ Aleksandra Dumas-syna, od wielu dziesiątków lat grasująca w Polsce i wciąż — z niepojętym dla mnie pietyzmem konserwowana jako „Dama kameliowa“ — gdy tak proste i poprawne byłoby: „Dama z kameliami“.

Ale są i nie tak bezsporne, bardziej skomplikowane wypadki: na przykład „L'homme qui rit“ Wiktora Hugo. We wszystkich dotychczasowych przekładach polskich tytuł ten brzmi: „Człowiek śmiechu“. Mnie osobiście wydaje się to dziwołagiem, boć w takim razie tytuł znanej powiastki dla dzieci „Jean qui rit et Jean qui pleure“ należałoby tłumaczyć: „Jaś śmiechu i Jaś płaczu“... Kiedy jednak na ten temat dyskutowałem, zaszachowano mnie całą serią analogicznych wyrażen — zapewne będących niewątpliwymi barbaryzmami, lecz utartych i przyjętych — których wykorzenić nie podobna (a kto wie: czy potrzeba wykorzeniać?) jak: człowiek teatru, człowiek pracy, człowiek interesu, a także: mąż stanu, mąż zaufania. (Ten ostatni miał bronić zaatakowanego przeze mnie „Męża przeznaczenia“, który to tytuł widniał na afiszach teatralnych w związku z wystawieniem sztuki Oscara Wilde). Sądzę, iż tego rodzaju zagadnienia zasługują na gruntowną dyskusję na zebraniach roboczych Sekcji Przekładowej Związku Literatów Polskich bądź też w specjalnej „Poradni“, której powołanie do życia uważam za sprawę pilną i bynajmniej nie błahą.

A oto jeszcze jeden przykład, który nam uwidoczni kłopoty w subtelnym odtworzeniu treści zawartej w tytule utworu. Bardzo trudno rozstrzygnąć bezapelacyjnie: czy tytuł arcydzieła Wiktora Hugo „Les misérables“ powinien po polsku brzmieć — tak jak czytamy i najczęściej dzisiaj słyszymy — „Nędznicy“, czy też może raczej „Nędzarze“? Mnie osobiście

ten ostatni termin wydaje się odpowiedniejszy¹, gdyż zarówno ogólny ton miłosierdzia i współczucia tętniący w całym utworze jak niemal bezpośrednia w tym względzie wypowiedź autora w krótkiej przedmowie wskazują dostatecznie, w jakim kierunku wypadałoby interpretować oboczność semantyczną francuskiego wyrazu. Niemniej odpowiednik „Nędzarze“ — acz bliższy niżeli „Nędznicy“ — nie jest pełnowartościowy; jest to raczej „mniejsze zło“: mówiąc „Nędznicy“ jesteśmy chyba zbyt surowi, lecz mówiąc „Nędzarze“ może się znowu zanadto roztkliwiamy. Rzetelność nakazuje mi jeszcze jedno: oto dziś już tylko bardzo nieśmiało obstać przy „Nędzarchach“ zamiast „Nędzników“, ponieważ pewien znakomity pisarz i tłumacz oraz doskonały znawca języka (co, zresztą, podkreślmy to zaraz, musi iść w parze!) zwrócił moją uwagę na biblijny (i staropolski) sens wyrazu *nędznik*, właśnie niemal jednoznaczny z *nędzarz*. Wzmogło to moje wątpliwości i podwoiło nieśmiałość... Ta sprawa chyba również nadawałaby się do szczegółowej dyskusji².

Jeszcze — w pobieżnym przeglądzie — garść przykładów. Pierwszy należy do nieco innej kategorii, mianowicie świadczy o niedostatecznym orientowaniu się tłumacza w realiach: to przetłumaczenie tytułu znanej powieści Chestertona „The adventures of father Brown“ jako „Przygody ojca Browna“ — zamiast Księdza Browna, gdyż w angielszczyźnie *father* oznacza zarówno zakonnika jak i duchownego świeckiego, a takim właśnie jest bohater powieści, jak to wynika z jej treści (której właściwa interpretacja była oczywiście obowiązkiem tłumacza).

A oto przykład niezręczności wywołanej nieporadnością stylistyczną lub dosłownością transpozycji: są to rozdziały „Nędzników“ w starym — bardzo nietęgim — przekładzie z roku 1899 pióra bezimiennego tłumacza; wydanie to — z nader nielicznymi zmianami — zostało przedrukowane w edycji sprzed kilku lat pod redakcją Jarosława Iwaszkiewicza: „La prudence conséillée à la sagesse“ tłumaczą tam w pierwszej redakcji przez „zakalcowate“ „Zejdźcie się dwóch dróg gwiazd“, w drugiej zaś przez niewiele lepsze: „Kumulacja dwóch gwiazd“. Przyznaję, że ten tytuł jest wyjątkowo trudny, i sądzę, że tu może by raczej wypadało zrezygnować z niedogodnego rzeczownika, pisząc na przykład: „Łączą się dwie gwiazdy“.

¹ Warto zanotować, że tak samo odczuwał to młodociany Żeromski, który w swym „Dzienniku“ (wydanym w roku 1953) kilkakrotnie wspomina o powieści Wiktora Hugo, wymieniając tytuł: „Nędzarze“, choć korzystał z przekładu Wincenty Limanowskiej (z r. 1881-82) pt. „Nędznicy“. Fakt ten wyjaśnia w przypisach Redakcja przypuszczeniem, iż „Żeromski poszedł tu za sugestią A. G. Bema, który mógł mu wyjaśnić, że przekład „Nędznicy“ nie odpowiada ściśle tytułowi oryginału“.

² Ze kwestia pozostaje otwarta — świadczy fakt, iż brzmienie tytułu w kolejnych wydaniach polskiego przekładu „Les misérables“ waha się; dla ścisłości przecie zaznaczyć wypada, że przeważa postać: „Nędznicy“. Sprawę znaczeń form *nędzarz* i *nędznik* omówił prof. W. Doroszewski w III serii „Rozmów o języku“, s. 133.

O zbędnej dosłowności czy też niedostatecznym cieniowaniu świadczy tytuł świetnie przełożonego przez Tuwima poematu Puszkina „Miednyj wsadnik“. „Jeździec miedziany“ — to niezupełnie dobre (choć ścisłe). Nie jestem zwolennikiem patosu, ale tu, myślę, powinno być chyba: „Jeździec spiżowy“, gdyż miedziane są raczej rondle, a na tak dostojne obiekty, jak hełmy, miecze oraz — jak w tym wypadku — pomniki, wypada odżałować trochę spiżu...

Inny przykład: „La garçonne“ Wiktora Margueritte (przekład Staffa) — to niezupełnie „Chłopczyca“, można by raczej zaryzykować: „Kawalerka“ (z cudzysłowem), wyrazem tym — zgodnie z autorem powieści — określając typ kobiety prowadzącej „une vie de garçon“ (tylko, że tu niepotrzebnie nasuwa się skojarzenie z kawalerskim pokojem...) Również niezbyt mi trafia do przekonania „Owocobranie“ — tytuł, którym ochrzcił Leopold Staff swój przepiękny przekład utworu Rabindranatha Tagore. Mamy wprawdzie grzybobranie, winobranie, ale ta kalka nie wydaje mi się fortunna i uważam, że zgrabniej byłoby po prostu: „Zbiór owoców“ (z nie rażącym tu zlekka archaicznym odcieniem: zbiór = sprzęt, zbiórka).

Kończę te rozważania stwierdzeniem — dzisiaj już — oczywistym, że całkowita dosłowność trafiać się może tylko wyjątkowo i że nie o nią zresztą idzie, lecz o możliwie wierne oddanie tego, co wyraził autor, przekładając nie słowa na słowa, lecz treść na treść. Rzecz prosta, dotyczy to nie samych tylko tytułów, lecz całego tekstu. Nad tą zaś sprawą rozwiodłem się tak szeroko traktując ją jako *pars pro toto*.

III

Poważne kłopoty — często, niestety, nieusuwalne — sprawiają tłumaczowi zaimki osobowe w rozmowach postaci występujących w utworze. Jak transponować francuskie *vous*, rosyjskie *wy*, angielskie *you*, niemieckie *Sie*, włoskie *Lei*, hiszpańskie *usted* itp.? Niepodobna tu podać jakiejś recepty: wszystko zależy od wyczucia, od subtelności tłumacza, który musi zdecydować: gdzie *ty* będzie zbyt poufale, *pan* czy *pani* zanadto ceremonialne, czy można zaryzykować studencko-koleżeńskie *wy* — rzadkie zresztą (niestety, bo to nieraz bardzo by pomogło, choć jest niewygodne w połączeniach z przymiotnikami lub imiesłowami); pomijam urzędowego *obywatela*, który z pewnością nie wywalczy sobie prawa obywatelstwa i funkcjonuje przeważnie jako element humorystyki...

Ileż to wahań, ile wątpliwości — no i kompromisów: aby w rezultacie wybrać jedynie najmniejsze zło, gdy nie ma właściwego odpowied-

³ Przykład ten zaczerpnąłem z drukowanej w periodyku „Język Polski“ rozprawki Olgierda Wojtasiewicza. (Rocznik XXX, rok 1950).

nika na transpozycje tonu oryginału. Niepodobna mi tu wdawać się w drobiazgową analizę (zwłaszcza, że dialogowanie jest w każdym języku odmienne); to wchodziłoby w zakres kursów seminaryjnych (których uruchomienie uważam za bardzo pożądane) — wzorem już odbytych dwóch takich kursów eksperymentalnych. Na razie zainteresowanych odsyłam do kapitalnych rozpraw zamieszczonych w „Języku polskim“ oraz w „Poradniku językowym“. Znajdą tam metodycznie rozpatrzone wcale obfity materiał dotyczący terminologii rosyjskiej oraz angielskiej, pozwalający tłumaczowi orientować się zasadniczo w sprawie stosowania zaimków osobowych w dialogach. Powiadam: „orientować się zasadniczo“, nie wszystko bowiem, niestety, da się rozstrzygnąć nieomylnie i co chwila — jak w całej pracy tłumacza — do głosu musi dochodzić intuicja, a ostatnie słowo ma jego zmysł artystyczny: decyzja powinna być wypadkową dwu równorzędnych czynników: ścisłości formalnej oraz możliwie największej swobody i naturalności w przeszczepianiu dialogów na grunt polszczyzny.

Jako wniosek praktyczny i przestrozę dla tłumacza należy zapamiętać sobie sformułowaną przez prof. Nitscha zasadę: w normalnych wypadkach decyduje forma języka, na który się przekłada, ale gdy idzie o wyrażenie jakichś specjalnych stosunków, może zająć konieczność użycia właśnie formy oryginału.

Tak więc do dobrego przekładu nie wystarczy znać gramatykę i słownik: trzeba znać społeczną funkcję języka danej epoki.

To już możemy zilustrować przykładowo. Kto by, tłumacząc ziemiańsko-inteligenckie powieści Turgieniewa, kazał ich bohaterom mówić po polsku przez *wy*, wprowadziłby w te stosunki nawskroś fałszywy ton towarzyski, po prostu ordynarny; tu musi być *pan*, *pani*.

Trudności te i subtelnosci są szczególnie dokuczliwe dla tłumacza tekstów francuskich. (Zajmuję się głównie tym językiem, ponieważ najlepiej go znam, zresztą, rzecz prosta, można sobie to dośpiewać i w stosunku do innych). Otóż we francuszczyźnie zasięg owego *vous* jest arcyszeroki — zarówno w życiu jak w książkach: tak mówią do siebie nie tylko ludzie nie związani żadnymi węzłami rodzinnymi czy uczuciowymi. w ten sposób w wielu rodzinach zwracają się dzieci do rodziców, nieraz tak z sobą rozmawiają narzeczeni, a nawet małżonkowie — bynajmniej nie uroczyście, lecz w normalnej wymianie wypowiedzi a także w najczulszych choćby dialogach. Tłumacz musi tu operować nader finezyjnie i nie zawsze, niestety, może utrafić w ton właściwy. Ja w takich wypadkach stosuję pewien system kompromisowy; nazwijmy to „lawirowaniem“... Oto rezygnując z rygorystycznej, konsekwentnej jednolitości, staram się utrzymać tonację, jaka mi się wydaje, że tak powiem, dominantą tekstu. Wtrącając pewne cieniowania, niejako tony harmoniczne. A więc w dia-

logu narzeczeńskim, bardziej ceremonialnym, piszę *proszę pani, proszę pana*, w pewnych momentach jednak posługując się i imionami oraz zaimkiem II osoby. Kuzyni będą mówić sobie raz *kuzynie, kuzynko*, to znów po imieniu i „per ty“ — z ogólną dominantą zależną od stopnia poufałości w dialogach oryginału. Natomiast rozmowy między małżonkami utrzymuję z reguły w drugiej osobie, gdyż tu odchylenie od tej formy byłoby w polszczyźnie rażącym dziwologiem — z wyjątkiem oczywiście tekstów dotyczących jakiejś bardzo odległej epoki, w której nasi przodkowie zwracali się do siebie: „panie mężu“ czy „mościa pani małżonko dobrodziejko“.

Do nader kłopotliwych dla tłumacza należą teksty, w których występują rodzice chrzestni. We Francji dzieci całkiem naturalnie mówią do nich *parrain, marraine*. Po polsku operować tym bardzo niewygodnie. Co tu robić? Sądzę, że nie ma tu innej rady, jak stosować jednak *chrzestny tatusiu, chrzestna mamusiu*. To są owe stosunki specjalne, o których wspomina prof. Nitsch. Zeskamotować się to nie da, zastąpić też niczym niepodobna.

Sporo kłopotu sprawiają tłumaczowi owe „le père“, „la mère“ stawiane przed imionami lub nazwiskami starych osób (le père Antoine, la mère Dupont); osobiście wolę tłumaczyć raczej: dziadzio Antoni, babcia Dupont; nie uważam, by to było zachwycające... ale wydaje mi się zawsze lepsze niż nazbyt „zakonne“: ojciec Antoni, matka Dupont.

Ostrożnie też należy się obchodzić ze zwrotami w rodzaju: *mon vieux, mon gros, mon grand, mon petit*, tak częstymi we francuszczyźnie. Trzeba dobrze rozejrzeć się w kontekście, zdecydować jaką wypada zachować „couleur locale“ — francuską czy polską — i wyczuć, co będzie najmniej raziło, co zabrzmi najładziej i najnaturalniej. Najczęściej wystarczy tu po polsku *mój drogi*, w każdym zaś razie wystrzegajmy się transpozycji *mon vieux* na dziwaczne *mój stary* (spotykane szczególnie w dawnych dialogach komediowych). Do tej samej kategorii należy częsty zwrot: *cher ami*, który należy oddawać po prostu przez *mój drogi* czy *mój kochany*, nie zaś przez fotograficzne *drogi przyjacielu* stosowane pod sugestią oryginału.

IV.

Wspomnijmy pobieżnie o grupie wcale pokaźnych trudności, jakie sprawia tłumaczowi odmiana imion własnych i nazwisk. Trudności te, oczywiście, nie istnieją w językach niefleksyjnych, gdzie każdym imieniem czy nazwiskiem (w takiej lub innej transkrypcji) operuje się całkiem swobodnie, zachowując jego brzmienie i dobierając jedynie potrzebne przyimki. W polszczyźnie zarówno deklinacja jak i sama transkrypcja cudzoziemskich imion własnych bywa nieraz wielce uciążliwa. W obliczu

takich np. nazwisk jak: Rabelais, Maupassant, Delacroix, zdaje się umacniać dążność do zachowywania ich w postaci nieodmiennej; sądzę, że to bodaj słuszne, lepsze od deklinacyjnych łamańców z apostrofem czy bez apostrofu (rola jego zresztą nie jest bynajmniej sprecyzowana). Ale co robić chociażby z takim Hugo, jeżeli zrezygnujemy z „podpórki“, jaka nam daje stałe pakowanie imienia Wiktor? W samym niniejszym zdaniu to Hugo może nie razi (pomaga tu nieco zaimbek), lecz w innych pozycjach... Albo takie imiona męskie, jak Guy, Aimé, Hervé czy też żeńskie — owe przeróżne Huguette, Vivette, Ginette, Olive, a także „fantazyjne“: Poupette, Totote, Chonchette... Manipulowanie nimi bynajmniej nie jest poręczne i napewno nie wzmaga potoczności stylistycznej przekładu. Trudno tu o ustalenie ścisłych reguł, tłumacz musi operować arcy-subtelnie i delikatnie, jedne imiona spolszcza, inne pozostawia w brzmieniu oryginalnym, jedne odmienia, innych nie wytrąca z pozycji mianownika.

Niemniejszy chaos panuje w transkrypcji i odmianie imion i nazwisk rosyjskich. Oto szereg pierwszych z brzegu przykładów. Czy Iwan należy tłumaczyć Jan, czy też pozostawić Iwan? (Podobnie Josif, Grigorij, Jurij itd. itd.). Jak tłumaczyć imiona: Wiera, Nadieżda, Lubow? Czy nazwiska typu: Czackij, Bielinskij, Czarskaja, Wierbickaja należy polonizować (odrzucając jotę) czy też zachować w postaci autentycznej? Czy żona Pawłowa, Sokołowa itp. powinna w polskiej wersji figurować jako Pawłowa, Sokołowa, czy też — Pawłowowa, Sokołowowa? Czy pisać Newa, Onega, Onegin, Bestużew — czy też: Niewa, Oniegin, Oniega, Bestużew? W praktyce spotyka się „rozwiązania“ dość dziwaczne (najczęściej: Newa, Onega, ale: Oniegin!) i bynajmniej nie konsekwentne, podobnie rzecz się ma z odmianą nazwisk: Tołstoj i Gorkij: pierwsze odmienia się rzeczownikowo: (Tołstoja, Tołstojowi itd.), natomiast drugie — przymiotnikowo: Gorkiego, Gorkiemu itd. (Przy czym w mianowniku dziś przeważnie odrzuca się końcową jotę); nazwisko zaś — tegoż typu — Trubeckoj (a może: Trubieckoj?) jedni deklinują rzeczownikowo, inni zaś przymiotnikowo. Podręczniki pisowni zawierają w tym względzie nader skąpe i nie zawsze konsekwentne wskazówki, zdania językoznawców są tu podzielone... Całkowicie zadowolające i uwalniające nieszczęsnego tłumacza od kłopotu rozwiązanie tych spraw jest bodaj niemożliwe ze względu na różnice strukturalne i fonetyczne między językami; niemniej do rozwiązania przynajmniej częściowego, do pewnego uporządkowania tych spraw można dojść (a dążyć należy) i niewątpliwie tłumacze właśnie mogliby się wydatnie przyczynić do osiągnięcia niejakiich pozytywnych zdobyczy w kierunku jednolitości i uproszczenia, ustalając tu i ówdzie jakąś „res iudicata“. Tegoż zdania jest prof. Wiktor Jakubowski, który świetną rozprawkę zamieszczoną w „Języku Polskim“ (Zeszyt 4 z r. 1949) pt.

„Uwagi o językowej stronie przekładów z języka rosyjskiego na polski“ kończy słowami: „Zdaję sobie sprawę, że niektóre tylko kwestie językowe z tłumaczeniami z języka rosyjskiego udało mi się tu poruszyć. Uważałbym jednak swe zadanie za spełnione, gdyby te moje uwagi zapoczątkowały dyskusję — oby z udziałem tłumaczy jako fachowców — na ten dla naszej literatury przekładowej tak doniosły temat“.

V.

We wspomnianej przed chwilą rozprawce autor podaje mnóstwo przykładów potknięć translatorskich, których przyczyną jest z jednej strony zbieżność fonetyczna wielu wyrazów (zjawisko to występuje przede wszystkim, oczywiście, w pokrewnych polszczyźnie językach słowiańskich, ale nieobce jest i innym językom), zbieżność mogąca prowadzić tłumaczy na fałszywy trop, z drugiej zaś pewne nieuchronne stępienie i osłabienie wrażliwości językowej tłumacza, rozluźnienie jego samokontroli i poddanie się sugestii oryginału. A na tego tłumacza istotnie czyhają arcyzłośliwe pułapki. Pomijam tak krańcowe, jaskrawe gaffy, jak zacytowane we wspomnianej rozprawce prof. Jakubowskiego zdanie wyjęte z dziennikarskiego przekładu rosyjskiego artykułu: „Powszechną uwagę zwraca obraz „Puszkina i Mickiewicza“, na którym obaj wielcy poeci wyobrażeni są na tle pamiętnika Piotra Wielkiego“ (wyobrażeni — zamiast przedstawieni, pamiętnik — zamiast pomnik), ale i znakomitym mistrzom pióra zdarzają się potknięcia wywołane podobieństwem brzmienia słów. Dwa takie potknięcia znalazły się np. w kapitalnym przekładzie Tuwima poematu Puszkina „Miednyj wsadnik“, gdzie tłumacz wziął „sadki“ za ogródki (zamiast: „sadze na ryby“), „płota“ przełożył jako „płoty“ (a to są tratwy). Jeżeli zdarzyło się to tak wybitnemu pisarzowi — fakt ten powinien stać się dla nas wszystkich przestrogą i wzmóc naszą czujność. Najlepszą ku temu drogą — wielokrotnie przeze mnie wypróbowaną — jest odłożenie tekstu przekładu na pewien czas (na jak długo — to już zależy od indywidualnych właściwości tłumacza, od stopnia jego znużenia, więc też i od rozmiarów dokonanej pracy), aby powrócić do niego i przejrzeć go krytycznie dopiero po gruntownym odpoczynku i wyzwoleniu się od wpływu obcego języka. Wtedy dopiero — i jedynie wtedy, odczytując nasz tekst tak, jak gdyby był oryginalnym utworem — możemy się ustrzec owych groźnych — a jakże przykrych! — „wsyp“. Nie mam bynajmniej zamiaru przeładowywać niniejszego szkicu przykładami owych gaff (choćbym traktował je jako materiał anonimowy), których pokazny zbiór przechowuję w swym prywatnym archiwum, uważam jednak, że nie zawadzi — gwoli wzmocnieniu niej argumentacji — zacytować kilka charakterystycznych potknięć. Otóż w tym archiwum posiadam dokumenty, z których możemy się dowiedzieć, że „minister chodzi z serwetką

pod pachą“, że w pewnym hotelu całe górne piętro zajmowały guvernantki, że w menażerii były świnie indyjskie (cochons d'Inde, czyli po prostu świnki morskie), że „każdy owoc był owinięty papierem jedwabnym“ itp. itp. Zakończę tę seryjkę przykładem z rosyjskiego, mianowicie refleksją wyjętą z notatek Puszkina, która w polskiej wersji wygląda tak: „Powtórzone ostre słowo staje się głupstwem“. Trudno powstrzymać się od stwierdzenia, że, owszem, Puszkina ma zupełną słusność, ale kiegoś przetłumaczone ostre słowo również staje się głupstwem...

Podobnie, chyba tylko sugestią oryginału i bezkrytycznym stosunkiem do własnej roboty można wytłumaczyć (lecz bynajmniej nie usprawiedliwić) takie wyrażenia, jak przeczytane przeze mnie w jakiejś powieści: „Dom znajdował się wiorstach w dwóch od miasta“, albo słyszane ze sceny: „Spokojnej nocy!“ — zamiast zwykłego „Dobranoc!“ lub: „Co z tobą?“ zamiast: „co ci jest?“, „co się z tobą dzieje?“.

Innego rodzaju pułapki — to wyrażenia o dwojakim znaczeniu. Ktoś słusznie powiedział, że tłumaczowi nie wolno być dwuznacznym. On musi dotrzeć do tego, co chciał wyrazić autor. Musi z kontekstu dojść: czy *conscience* — to sumienie czy też świadomość, czy *vertu* — to cnota czy też właściwość, czy *qualité* — to zaleta czy też tylko cecha itp. Zauważmy, że trafiają się i odwrotne wypadki: kiedy dwa różne wyrazy oryginału mają w polszczyźnie identyczne lub zbliżone do siebie brzmienie; jeżeli brak synonimu, nie mamy innej rady, jak zrezygnować ze stylistycznego urozmaicenia. Przykład: Stendhal w „Rouge et noir“ pisze: „On ne s'ap- puie que sur ce qui résiste“. Nie da się tu wymyślić nic ponad niezbyt zgrabne zdanie: „Można się oprzeć jedynie na tym, co stawia opór“. Tak też czytamy w przekładzie Boya.

VI.

Pokaźny i różnorodny dział trudności stanowią zagadnienia związane ze specjalną stylizacją — czy to historyczną (archaizacja), czy gwarową (narzecza dzielnicowe, gwary zawodowe, żargon złodziejski itp.). Sam wybór podstawowego ujęcia a następnie dobór i dawkowanie tych elementów — to sprawa arcy-doniosła i wymagająca nie tylko zasadniczego poziomu kultury językowej lecz — obok wrodzonej intuicji i wyczucia artystycznego — także osobnych studiów i bodaj przedwstępnego treningu, dłuższych wprawek i „ćwiczeń w terenie“. Zauważmy też, że w archaizowaniu trzeba mieć na względzie m. in. także fakt nierównomiernego procesu „starzenia się“ poszczególnych języków w zestawieniu z polszczyzną, wobec czego należy rozważyć sprawę „tonacji“: czy stosować transpozycję do języka epoki przedstawionej w tekście oryginalnym, czy też do odpowiadającej temu okresowi polszczyzny? Tu, rozważywszy nader udatne osiągnięcia stylizacyjne Boya-Żeleńskiego (a także i moje

własne skromne próby) śpieszę podpisać się oburącz pod tezą wyrażoną przez Artura Sandauera, stwierdzającą, że na przykład Homera, który tworzył około 700 roku przed narodzeniem Chrystusa, niesposób przełożyć na odpowiednio starą polszczyznę. Użyjemy zatem najdawniejszego, jaki nam jest znany języka polskiego. Tu wszakże zachodzi obawa, że żaden tłumacz nie opanuje tej mowy tak doskonale, by móc się nią swobodnie posługiwać i że wskutek tego stworzy jakąś wieżę Babel rozmaitych epok — równie oburzającą filologa jak niedostępną dla publiczności. Przekład archaizowany — jeśli ma być zrozumiały i strawny nie dla średniowiecznego (nie mówiąc już o starożytnym) czytelnika (któremu na tamtym świecie sprawy te są raczej obojętne...) lecz dla dzisiejszego czytelnika — musi być świadomie niekonsekwentny. Ma on tylko zaprawić dzieło właściwym „sosem“, narzucić mu pokost sztucznej patyny — nie tak grubo jednak, aby je uczynić niezdatnym do użytku. W kompromisowym tedy z natury swej przekładzie chodzi tylko o pewną konwencję, o złudzenie, o wywołanie wrażenia autentyczności stylowej, nie zaś o jej istotę. Ale to bynajmniej nie jest łatwe i fuszerka w tej dziedzinie mści się bezlitośnie.

d. n.

Gabriel Karski

Forma *obywatel* w pewnym zakresie już sobie prawo obywatelstwa wywalczyła. Jest przyjęta w wojsku, w Warszawie słyszy się ją czasem nie tylko od milicjantów ściągających mandaty, ale od konduktorów, prócz tego nadaje się do użycia jako określenie kogoś, kto nie jest ani „kawalerem“, ani „panem“. Oczywiście nie jest to forma używana w rozmowach towarzyskich, ale ma ona pewną tradycję nawet przedwojenną.

W. D.

NOTATKI ETYMOLOGICZNE

WYOBCOWAĆ

Wyraz ten robił zawsze na mnie wrażenie niemiłe i budził podejrzenie, że sam jest pochodzenia obcego. Notatka prof. Doroszewskiego w nrze 122 Poradnika Językowego (s. 38 n.) tylko mnie utwierdziła w tym przekonaniu i postanowiłem sprawę zbadać bliżej. Przekonujące się przecież wydają uwagi prof. Doroszewskiego: „Jeżeli czasownik *wyobcować* rozumiemy jako utworzony od przymiotnika *obcy*, to formacja wygląda nieco dziwnie i nie ma analogii w języku (...). Należy więc rozumieć *wyobcować* jako utworzone (...) od czasownika *obcować* (...). Ale (...) mówi się tylko *obcować z kim* (...) a jeżeli się nie mówi *obcować kogo*, to nie można powiedzieć i *wyobcować kogo* (...)“ (s. 38).

Podejrzenie, że to formacja zupełnie obca nam duchem, doprowadziło mnie do wniosku, że mamy tu do czynienia po prostu z kalką, alias repliką. Ponieważem już pisał o *wydzwiewku* („Poradnik Językowy“, zeszyt 8 z r. 1951, s. 25 n.), o zwrotach: *pod ręką* („Język Polski“, r. 1952, s. 233 n.) i *ze wszystkimi szykanami* („Poradnik Językowy“ z. 1 z r. 1953), o przymiotnikach: *przejsiowy* („Język Polski“, 1953, s. 60 n.) i *kluczowy* („Język Polski“, 1954, s. 138 n.), przeto ci, co znają owe moje uwagi, gotowi pomyśleć od razu, że tu też wietrzę germanizm, ale że przecież w niemieckim nie ma jakiegos *ausfremden*. Jeżeli tak pomyślą, to będą mieć słuszność w obu punktach, tzn. także co do nieistnienia takiego wyrazu niemieckiego; że go i dawniej nie było, wykazuje rzut oka do słownika Grimmów. Ale mimo to ja podejrzewając tu wpływ niemczyzny mogę mieć także słuszność.

Kto sobie otworzy część niemiecko-polską znanego słownika Konarskiego, Inlendera i dwu innych autorów (r. 1904) na s. 375 i będzie kartkować dalej, zauważy dosyć łatwo, że *entadern* znaczy »wyżyłować«, *entarten* — »wyradzać się«, *entdecken* — »odkryć; wykryć«, *enterben* — »wydziedziczyć«, *entfahren* — »wymknąć się«, *entfliegen* — »ulecieć, wylecieć«, *entfliehen* — (także:) »wymknąć się..., wyrwać się«, *entfliessen* — »wypływać«, *entgleiten* — »wymknąć się..., wyrwać się«, *entfliessen* — »...wyłuskać...« itd.; tzn. niemieckiemu *ent-* odpowiada często nasze *wy-*. Ważne jest, że przytoczone tu przeze mnie przykłady są przeważnie stare w obu językach, tzn. sięgają przeważnie nawet w. XVI (kto nie wierzy, może sprawdzić u Lindego i u Grimmów). I otóż (jest i) było w niemieckim *entfremden*, od *fremd* »obcy«; u Lindego mamy wspomniane już przez prof. Doroszewskiego trzy przykłady na *wyobcować* z Leopolicy, a u Grimmów przykłady równie dawne oraz informację, że już w średniogórno-niemieckim było *entfremden*. Wniosek chyba całkiem jasny: możliwość skalkowania istniała.

Przykłady Lindego z Leopolicy są następujące: „Przestępcy mogą być zabrane majętności, a sam aby był wyobcowan od tego narodu“ (to cytuje prof. Doroszewski); dalej: „Pogani wyobcowani od żywota bożego przez nieumiejętność, która w nich jest“; wreszcie: „...wyobcuje go kapłan jako trędowatego“. Z obu innych cytatów jeden pochodzi z postylli Grzegorza z Żarnowca: „Nieprzykładnych... wyobcowali“. Z cytatów podanych w słowniku Grimmów godne uwagi są dwa: jeden wzięto z pism Lutera: „das wir... ihm seine ehre, güter, und alle ding von uns entfremdet widergeben...“, drugi zaś z Biblii: „und sind entfremdet von dem leben, das aus gott ist“ — i ten drugi odpowiada dokładnie drugiemu z Leopolicy, bo oba pochodzą z listu do Efezów (4, 18). Warto tu przypomnieć, że według Brücknera „Ów ksiądz Jan ze Lwowa użył gotowego, średniowiecznego przekładu, poprawiając nieco tekst a modernizując ję-

zyk, mimo to pozostawiając tej biblii cechy średniowieczne i prowincjonalne, najfatalniejszym doborem słów z niemieczyny...“ (Dzieje literatury polskiej w zarysie, 1907, t. 1, s. 106). Czyli mogło to być już w owym przekładzie średniowiecznym (o wczesnym wpływie niemieckim zob. np. Brückner, Dzieje języka polskiego, 1925, s. 150 n. i Lehr-Spławiński, Język polski, pochodzenie, powstanie, rozwój, 1951, s. 113 n. i 201 — 204) albo też wprowadził je dopiero Leopolda; ale wpływ niemiecki jest według osądu Brücknera najzupełniej możliwy.

Zresztą nie wydaje się wyłączona inna możliwość: żeśmy przejęli ów wyraz już gotowy z czeskiego; *vyobcovati* »wydalić, wyłączyć« ma nie tylko najnowszy słownik czesko-polski B. Vydry, ale też słownik Hory sprzed pół wieku i wyraz ten jest z pewnością stary (nie mogę sprawdzić w Toruniu). Jeżeli istniał w dawnym języku, to prawdopodobnie też nie powstał samodzielnie (por. Brückner — Lehr-Spławiński, Zarys dziejów literatur i języków słowiańskich, 1929, s. 182). To by wpływ niemiecki uczyniło tylko pośrednim.

Jeszcze jedna możliwość teoretyczna, mianowicie skalkowanie łacińskiego *abalienare* (od *alienus* »obcy«), wydaje się na pierwszy rzut oka jednak mniej prawdopodobna, bo łacińskiemu *ab* odpowiada zasadniczo nasze *od-*, nie *wy-*; bliższe by już było greckie *exallotriō* (od *allōtrios* »obcy« i *ex-* »wy-«), ale przecież u nas tłumaczono zasadniczo z łaciny. Bliżej obu tych możliwości dodatkowych nie rozważam jako moim zdaniem mniej prawdopodobnych.

E. Stuszkiewicz

R E C E N Z J A

A. Zaręba: *Słownictwo Niepołomic „Prace i Materiały“ Etnograficzne“ P. T. L., Kraków 1954, L X s. 248.*

Praca zawiera poza częścią zatytułowaną: „Słownik“, informacje o miasteczku Niepołomic, sposobie zbierania materiału i informatorach, uwagi gramatyczne i charakterystykę słownictwa oraz teksty gwarowe. Autor określa „Słownictwo Niepołomic“ jako pracę językowo-etnograficzną. Ze względu na czytelnika niejęzykoznawcę teksty i cytaty zostały podane w transkrypcji półfonetycznej¹, fonetycznie przytoczono jedynie hasła słownikowe. Istotnie wartościowym uzupełnieniem pracy jest blisko 150 rysunków ułatwiających ściśle rozumienie szeregu przytoczonych nazw.

Należy żałować, że autor zbyt skrótowo potraktował część wstępną mającą na celu scharakteryzowanie Niepołomic. Dane dotyczące poszczególnych informa-

¹ Stosowanej w „Języku Polskim“ i omówionej przez autora pracy w zesz. 1 „Poradnika Językowego“ z 1954 r.

torów są także zbyt szczupłe i trochę przypadkowe. Wobec bardzo ograniczonych wiadomości rzeczowych można było chyba pominąć informacje typu: „Brał udział w rozmowie o weselu do momentu, gdy zebrani zaczęli cytować pieśni weselne, niektóre niecenzuralne. Wtedy obrócił się do ściany i już nic więcej nie mówił“ (s. 132). Uwagi językowe mówią w sposób dość pobieżny o niektórych bardziej charakterystycznych cechach fonetycznych i morfologicznych gwary Niepołomic. Nie najszcześliwiej zostały dobrane przykłady mające na celu udowodnienie „objawu skromności języka“ w badanej miejscowości, (*nos* w znaczeniu 1) anatomicznym 2) »zakrzywionej części płóz« 3) »zakrzywionej części drabiny siennej« znany jest chyba w całej Polsce). Interesujący, zwłaszcza pod względem etnograficznym, jest wybór tekstów.

Zasadnicza część pracy, mianowicie tzw. „słownik“, zawiera ok. 2000 wyrazów podzielonych ze względu na realia, do których się odnoszą, na następujące działy: 1. dom, 2. ciesielstwo, 3. zabudowania gospodarskie, obejście, 4. uprawa roli, 5. wóz, sianie, uprząż, kowalstwo, 6. sprzęt gospodarski, 7. gospodarstwo kobiece, 8. naczynia i miary, 9. hodowla, 10. rybołówstwo, piaskarstwo, 11. zwierzęta, 12. drzewa, praca w lesie, 13. rośliny, 14. zjawiska atmosferyczne, ciała niebieskie, czas, 15. barwy, 16. części ciała, choroby, 17. ubiór, pościel, 18. potrawy, posiłki, 19. rodzina, 20. stosunki społeczne, zawody, 21. zabawy, rozrywki, 22. zwyczaje, obyczaje, wierzenia, 23. przezwiska, 24. onomastyka, teren, toponomastyka, 25. różne.

Słownik nasuwa następujące uwagi krytyczne.

1. Nie zawsze uzasadnione jest przytaczanie kontekstu, który zdaniem autora ma wypuklać znaczenie wyrazu lub sposób jego użycia. Co nowego wnosi np. taki cytat: „*otfożyć* »otworzyć« *otfuż wrutnie, bo wjizdo do stodoły*“ (s. 160)?² Czasami niewłaściwie przytoczony kontekst zupełnie niepotrzebnie utrudnia rozumienie znaczenia przytoczonego hasła np.: „*pidy* »widły« *widły miały czy* (= trzy — W. P.) *rogi ino drewniane*“ (s. 174); a niżej na tej samej stronie: „*ruk* »żelazo wideł«“.

2. Nienajzręczniejsza bywa stylizacja niektórych objaśnień znaczeniowych, np.: „*piwnica* »piwnica pod i poza domem, na powale, murowana« (s. 163); *sufelka* »szufla do wyrzucania (!) wody z łodzi« (s. 188). Zupełnie niespodziewane jest zakończenie opisu piskorza: „*pisisko* »ryba stawowa, czarna, pod spodem w pasy żółtawe, długa do metra, kwiczy«“ (s. 188). Nieco dziwi podanie hasła *gmyrać* bez kwalifikatora żart.: „*gmyrać* »gmerać, o pracy w ziemi« *gmysz, to nie będzie ci rus pysz*“ (s. 165), chociaż w innych wypadkach autor taki kwalifikator niekiedy podaje, np.: „*spšedavaž vovų* żart. »spowiadać się« (s. 216).

3. Osobne zagadnienie stanowią objaśnienia, które dostały się chyba wskutek nieporozumień, np.: „*pokos* »pokos, rząd ściętej trawy« (167); i niżej na tej samej stronie: „*ležež na pokosaχ* »trawa nie rozrzucona po skoszeniu« *siano leży na pokosach, czeba go rozbić; χalovać* »płynąć łodzią pod prąd« *chaluje sie do gury łutke*“ (s. 187). Dlaczego czasownik z okolicznikiem (*leżeć na pokosach*) został „objaśniony“ jako rzeczownik z przydawką rozwiniętą (*trawa nie rozrzucona po skoszeniu*), a czasownik przechodni (*holować*) został „przełumaczony“ nieprzechodnim (*płynąć*)? (Przytoczony kontekst w obu wypadkach znacznie lepiej i ściślej niż objaśnienie informuje o znaczeniu). Trudno zgodzić się z tym, że *pociosek* to »drewniany pogrzebacz, łopátka do usuwania drzewa z pieca chlebowego« (s. 178), ponieważ pospolicie tak nazywane narzędzie, służące raczej do wygarniania węgla niż drzewa z pieca chlebowego, zupełnie nie przypomina ani pogrzebacza, ani łopátki. Na s. 196 dowiadujemy się, że *gorczyca* to »gatunek trawy«. Jeżeli istotnie w Niepołomicach

² W cytatach opuszczono skróty nazwisk informatorów podawane przez autora pracy po hasle.

gorczyca nazywana jest jakaś trawa, należało trawę tę dokładniej określić. W wypadku *kuko'uki*, określanej jako »bułka pszenna podłużna długa na 170 cm«, mimo cytatu „*kukiołka tako wielga była*“ (s. 209) mamy chyba do czynienia z błędem drukarskim. Objaśnienie na s. 197 zarówno *mietlicy* jak i *stokłosy* jako »trawy z kłosem«, nie ułatwiające bynajmniej rozróżnienia tych traw, mogłoby nasuwać przypuszczenie, że autor pracy spotykał się kiedyś z jakimiś trawami, które w okresie kwitnienia i owocowania nie mają kłosów.

4. Mało przydatne są określenia zupełnie nie wystarczające dla utożsamienia nazwy i nazywanej rzeczy. Nie wiemy z iloma i jakimi narzędziami mamy do czynienia, kiedy (na s. 174) czytamy: „*puuzek* »płużek do oborywania oraz do plewienia zagonów«; *radio* 1. »narzędzie w kształcie płużka, używane zamiast płużka do plewienia w burakach, 2. (...)«; *soxa* »radło do wyorywania ziemniaków«. Warto było podać rysunki wymienionych narzędzi, chociażby kosztem rysunków dobrze każdemu znanych bata czy grabi. Należy żałować, że zostały na ogół pominięte zoologiczne i botaniczne nazwy łacińskie, co w wielu wypadkach uniemożliwia zidentyfikowanie nazwy, zupełnie przygodnie można przeczytać, że: *bavav* // *bavavatek* »bławatek« to *Centaurea cyanus* (s. 196). Do objaśnień niepełnych należy zaliczyć objaśnienie wyrazu gwarowego tym samym wyrazem (czasem w nieco innej postaci fonetycznej) np.: „*korpel* »karpieł«“ (s. 195) zamiast: »brukiew«; *rafa* »rafa żelazna koła« (s. 170) zamiast: »obwód koła«, albo też innym wyrazem lub związkiem wyrazowym, mającym charakter zdecydowanie regionalny, np.: „*zadek* »tylna kara wozu«“ (s. 169).

5. Trudno zgodzić się z autorem pracy, że mamy prawo wyodrębnić dwa równorzędne znaczenia takich wyrazów, jak np. *łóżko* i *czarny* (o kolorze), mianowicie „*usko* 1. »sprzęt do spania«, 2. »łóżko zasłane«“ (s. 161); „*čarny* // *corny* 1. »czarny«, 2. »kolor sińca« *jag ja se ftedy te noge spralam, była noga czarna jak smoła*“ (s. 201). Można natomiast uzasadnić wieloznaczność nazwy: „*bes* 1. »krzak bzu«, 2. »kwiat bzu«“ (s. 196), ale w takim razie należało wyodrębnić podobnie różne znaczenia i innych nazw krzewów, np. *agrestu*, *porzeczki*, *maliny*. Podobne niekonsekwencje spotykamy chociażby przy nazwach tańców na s. 213.

Nasuwa się przypuszczenie, że autor pracy podając w jednych wypadkach różne znaczenia tego samego wyrazu, w innych je pomijając, opierał się przede wszystkim na doraźnie robionych w czasie pracy terenowej notatkach i na luźnych skojarzeniach swoich informatorów.

6. Niestety należy stwierdzić, że brak konsekwencji obciąża „Słownictwo Niepołomic“ w znacznej mierze, widać to chociażby w sposobie podawania objaśnień. Wprawdzie *varietas delectat*, ale nie jest chyba konieczne podawanie kolejno chociażby na stronie 196 objaśnień następujących: „*maćejka* »maciejka, siana w ogródkach«; *mečyk* »mieczyk, kwiat ogrodowy«; *řivonia* // *řivovonia* »piwonia«; *ruža* »róża ogrodowa«. We wszystkich wypadkach idzie o kwiaty ogrodowe, czy warto było tę informację za każdym razem podawać inaczej. Autor pracy stosuje czasami zupełnie prawidłowe objaśnienie w stylu: „*poplačina* »grube gałęzie wikliny, przeplatane między kołkami na wierzchu płotu, dla wzmocnienia go«“ (s. 163); „*poplata* j.w. (164): *poplót* j.w.“ (s. 164); w innych jednak wypadkach pisze: „*žyfko* »płaza«, *puza* »belka w ścianie« (s. 158).

Wydaje się, że czytelnik ma prawo wymagać od słownika większej przejrzystości technicznej i ścisłości rzeczowej.

Ogłaszanie nawet indeksów wyrazowych obejmujących chociażby fragment zasobu leksykalnego poszczególnych wsi jest niewątpliwie celowe. Fakt, że „Słownictwo Niepołomic“ jest pracą naukowo-popularną z zakresu nie tylko językoznawstwa,

ale i etnografii zobowiązywał tym bardziej do przedstawienia materiału zgodnie z przemyślanymi założeniami metodycznymi. Autor mówi w jednym z pierwszych zdań wstępu o tym, że „materiał zebrano i podano przy zastosowaniu metod językoznawczych, dialektologicznych“. „Słownictwo Niepołomic“ nie reprezentuje tych metod w sposób najlepszy. Dlatego też wypadło nieco więcej uwagi poświęcić omówieniu usterek i niekonsekwencji, które w pewnym stopniu osłabiają wartość dokumentacyjną skądinąd pożytecznej pracy.

Wanda Pomianowska

Z GWARY SUWALSKIEJ JAK DAWNIEJ WOJOWALI

Jegliniec, gmina Puńsk, pow. Suwałki. Opowiedział Jan Butkiewicz,
lat 83, zapisała Barbara Mocarska.

Był król perski i król dunski (Dunia była ji Persja była, ji były króli). Małe było zaludnienie ludzi, to wojowali siłacami. Perski król miał dużego, silnego człowieka, a dunski ni miał. Wyprawił czterech sałdatów, na drogę dał jem piniędzy, wszystko, ji wyprawił jech sukać dużego człowieka. P'szejechali swój kraj ji nie naleźli w swoim kraju. Ji potem wtargnęli sie w drugi kraj. I wjechali w lasy, w bory, jek to kiedyś byli lasy takie wśędzie. Pat'szajo ze człowiek niesie tyle lescyny, co w pare koni miałby co wieźć. Ji jechali za niem; koni następuwali na wierski tej lescyny, a jón sed, urywał te wierski spod koniów nogów ji nie cuł nic a nic. Ji pat'szajo sałdaty, ze na górcie nad gościncem w lesie chałupka stoi (bo to kiedyś siosów nie było) no ji ten człowiek p'szyniós ji rucił te lescyne na podwórku. I pat'szy, ze czterech sałdatów konami stojo. I sałdaty "obacyli po tej lescynie, ze to taki "ogromny kul, ji to był bedna'sz. Robił stawnicy, becki, różne statki i wiadra z d'żewa. Sałdaty po niem popat'szyli, powiedajo, ze pan jest barzdo (sic) silny człowiek. Ten odpowiedział jem, ze mam siły podług siebie. Sałdaty mówio do niego: „A moze by pan z nami pojechał do króla nasego na pojedynek? Jezeli by pan pojedynek zawojował, to pan do śmierci robić juz nie bedzies nic u króla.“ Ji jon na to "odpowiedział, ze niech ja — powieda — spytam sie swojej zony ji dziewczynków, bo dwóch dziewczynków jon miał, jek joni będą mieli "ochote. Ji jon powiedział dla zony ji dla tech dziewczynków, ze tak ji tak, te chco nas zabrać, wieźć do klastora dunskiego. Ji te dziewczynki ji zona z radościo p'szystali.

I potem zaraz wybrali sie, mieli wózik swój, tylo konia nie chowali. Ten wózik zaraz sałdaty wypchnęli, gdzie jon tam stojał, zabrali jech na ten wózik ji tam co mogli coś więkzego pozabierali 'zeców na ten wózik ji zycia na te drogie. Ji krówkie zabrali z tyłu do woza. Ji puścili sie juz potem w podróż do tego króla.

Ji wjechali juz w swój kraj do piersego miastecka. I nicht nigdzie jech nie st'szymał. Ji w tem miastecku zaraz ten bedna'ż krówkie p'szedał swoje ji potem juz jechali ji p'szyjechali do tego króla. Ji sałdaty wtencas juz pošli we dwóch oznajmić królowi. Ji król sie pytał jech, cy p'szywieźli, naleźli duzego cłowieka. Ji buł rady barzdo, kontenty król ten. Kazał sałdatam jiść ji jech zawołać wsystkiech do króla, całe rodzinie. Król popat'szał na niech, ze "oni tak błago uodziane, zaraz posłał, dał piniędzy, swego za'ządzającego ji kupiuł dla niech "obuwie ji "odzienie. I dał jemu pokoji, tylo drugi niby dom kole siebie, ji tam pokoji byli w tem domie. Ji powiedział król do niego: „Jezeli pan sie cuje w sile, to za miesiąc będzie stawać pan do wojny na pojedynek. Ji jezeli pan wygra te wojne, to juz "u mnie pan robić nic nie będzie“.

P'szesed miesiąc casu, dali i pić, i jeść co tylko juz "oni chcieli dla niech. Ji za miesiąc casu wystawili jech na wojne, na pojedynek ji "ogłosili króli, ten w swoim kraju, a ten w swoim kraju, zeby naród wsystek zjechał sie na ten a na ten cas było wymieniono. No ji naród ten zjechał sie na plac ten, gdzie juz buł plac ten "obebrany do tego. Ji wtedy postawili juz tech siłaców: perski król swego, a dunski król swego. Dunski król postawiuł dwa sałdaty kole swego bedna'ża z jenego boku ji z drugiego boku. Tak samo ji perski król postawiuł dwa sałdaty swemu siłacowi z jenego boku i z drugiego boku. Ji pozrucali kosuli jeden siłac ji drugi siłac, tylko w jednych byli spodniach. Więc pyta się perskiego króla siłac: „Chtóry chtórego będziem w'pszody bili?“ Więc bedna'ż tego króla dunskiego "odpowiaduje jemu, ze bij ty mnie w'pszód. Ten napluwał w ręcy, wyter ji wyniós sie, chyluł sie ji jek dał jemu "odrazu w głowe, tak jon uchyluł sie na ręcy, nie pad wcale, ji powiedział, ze tak jak siedem pionów w głowe mu dało.

Ji potem jech po tem wsystkiem "odstawili na miesiąc na "odpocynek. Ji ten swemu dał zycie ji ten swemu — juz co chcieli pili i jedli.

Ji po tem p'szesed miesiąc casu, wystawili znów jech na pojedynek. Ten swego, a ten swego. I potem znów naród "obuch królów zjechał sie pat'szeć tej wojny z królestwów. Wystawili jech ji ten swemu sałdatów dwóch stawiuł, a ten swemu. No ji później juz bedna'żowi wychodzi bić. Ji późnij zruciuł juz bedna'ż kosule, tak ek ji tamten napluwał w ręce, wyter sobie dob'że ręcy, zeby było śmagło jemu bić. No ji później ten bedna'ż jek wyniós sie, jek dał siłacowi temu perskiego króla, a ten dał głowo w łeb temu sałdatowi ji "odrazu dwóch zabiuł, ani drgnęli. Wtedy dunskiego naród wsystek dali wielgie w ręcy oklaski, ze została wojna wygrana. Ji wtencas juz wyset król dunski ji królowa, za podpachy go wzięli i powiedli do swojego koca. Ji posadzili ji wtedy juz pojechali do swego pałacu do domu. Ji zapowiedzili jemu, ze juz teraz pan nie będzie nic robić "u nas, tylo będzie takiem za'ządzającym. Ji juz skońcone. Bo to

kiedys to skodowali ludziów marnować. Ji jon załbiuł tyło dwóch, a juz ludzi wsystkie ocalone zostali. Nie tak ek teraz, co wybijo naród. A to było kiedys, jek jesce nie było kolejów ni siosów.

CO PISZĄ O JĘZYKU

W N-rze 9. „Nowej Kultury“ ukazał się obszerny artykuł Kamili Jedlewskiej, nauczycielki Liceum Pedagogicznego w Warszawie, pt.: O reformę pisowni. Nie pierwszy to po wojnie głos na powyższy temat, zajmujemy się nim jednak nieco dłużej, gdyż „Nowa Kultura“, organ Związku Literatów Polskich, zamieściła go na pierwszej stronie, a nie opatrząc żadną notatką w rodzaju „artykuł dyskusyjny“ potraktowała go jako wypowiedź redakcji. W parę dni po ukazaniu się omawianego numeru „Nowej Kultury“ przegląd prasowy Polskiego Radia poświęcił wypowiedzi ob. Jedlewskiej dużo uwagi, przedstawiając jej artykuł jako poważne wystąpienie publicystyczne, którym winny się zainteresować nasze instytucje naukowe z Akademią na czele. Wkrótce też w „Przeglądzie Kulturalnym“ (Nr 10) i w „Życiu Warszawy“ (Nr 62) ukazały się — drobne na razie — notatki na powyższy temat, na szczęście zakończone rozsądnym apelem o zachowanie umiaru i ostrożności.

A sam artykuł?

Rozpoczyna go część wstępna, w której — ślizgając się na granicy wulgaryzatorskiego ujmowania zjawisk społeczno-kulturalnych — autorka porusza zagadnienia tzw. ogólne („demokratyzacja kultury, rewolucja kulturalna, której nie poddała się jedynie ortografia, problem awansu społecznego“ — i podobne, oczywiście ważne, ale nader powierzchownie potraktowane sprawy). Dalej następuje smutne i — niestety — prawdziwe stwierdzenie, iż znajomość zasad pisowni jest u nas, nie wyłączając ludzi z wyższym wykształceniem, bardzo niedostateczna, po czym zaczyna się seria utyskiwań na obowiązujące przepisy, określone jako „scholastyczne, absolutnie nie nadające się do studiowania bez ciągłej pomocy wytrawnego specjalisty“, a wreszcie — mniej lub więcej konkretne propozycje zmierzające do ulepszenia, tzn. uproszczenia pisowni.

Przykłady i propozycje przeplatane są uwagami ogólnymi, wśród których — obok spostrzeżeń niewątpliwie trafnych — znajdują się stwierdzenia bałamutne lub wręcz nieprawdziwe. Do pierwszych należy np. zgoła niejasny postulat: „Tam, gdzie nie ma wystarczających podstaw gramatycznych, które by służyły za wskaźnik dla pisowni, należy zrezygnować z kryteriów gramatycznych, a nie wprowadzać sztucznych i skomplikowanych niuansów gramatycznych (...)“, jako ilustrację typu drugiego można natomiast przytoczyć tezę więcej niż ryzykowną, że „większość

ludzi wykształconych nie rozpoznaje obcości często używanych wyrazów“ (czy np. takich jak *konstytucja, demokracja, transport, chemia?* — przyp. A. S.) lub — co jeszcze jaskrawsze — absolutnie niesłuszną uwagę, iż w jęz. francuskim poszczególne kombinacje liter „da się konsekwentnie uzasadnić wymawianiem...“.

Jeśli zaś ob. Jedlewska, polonistka, która wprawdzie — jak sama pisze — ma „na pewno za mało szacunku dla różnych odległych historycznych przyczyn i przestarzałych praw zwyczajowych“ (chodzi tu chyba o gramatykę historyczną), ale przecież jednak jest *p o l o n i s t k ą* — określenia tego rodzaju, jak *przymyki właściwe* lub *złożone* uważa za „pojęcia scholastyczne i obce“ — to jest to raczej... żenujące.

Na czym zaś polegać ma tak gorąco oczekiwana przez ob. Jedlewską reforma? Oczywiście na „ufonetycznieniu“ pisowni — przy czym konkretne dezyderaty ujęte są dość mgławicowo i chwiejnie („mały“ program ob. J. obejmuje „zgodną z wymową“ pisownię nosówek, „wielki“ zaś, nieśmiało wysunięty pod koniec artykułu — w bardzo niesprecyzowany sposób przewiduje uproszczenia w zakresie stosowania liter *ch, rz, ó*). Drugi dezyderat — w zasadzie słuszny — to uporządkowanie pisowni łącznej i rozdzielnej. Słuszny, bo wiele punktów tego działu wymaga uściślenia. Autorce jednak chodzi o co innego, chciałaby mianowicie *o d w r ó c i ć* przyjętą obecnie zasadę i wszelkiego typu wyrażenia przysłówkowe i inne pisać *ł a c z n i e*. Tkwi tu jawne nieporozumienie: zasada łącznego pisania prowadzi do konsekwencji nieobliczalnych, czego jaskrawych dowodów dostarczają dzieje naszej pisowni. Trzeci wreszcie postulat — w zasadzie nie pozbawiony słuszności — dotyczy normalizacji stosowania wielkich liter. I tu jednak rozsądna myśl autorki od razu wikła się w zetknięciu z rzeczywistością. Co np. ma wspólnego pisanie tytułów utworów literackich z „przewrotem w wartościowaniu pojęć“, jaki nastąpił od roku 1936?

W ostatecznej konkluzji, jaka nasuwa się po przeczytaniu artykułu: 1. pewne działy naszej pisowni rzeczywiście wymagają drobnych poprawek, przede wszystkim typu porządkowego, 2. wierzymy, że ob. Jedlewska ma jak najlepsze intencje i że chce zaradzić słusznie wskazanemu przez siebie złu społecznemu, jakim jest fakt, że mnóstwo ludzi pisze nieortograficznie, 3. martwimy się, że nauczycielka języka polskiego (i to nauczycielka liceum pedagogicznego) ma tak luźny kontakt myślowy z gramatyką języka ojczystego i w ogóle z zagadnieniami językowymi i językoznawczymi, 4. jeszcze bardziej martwi nas i dziwi, że stołeczny organ tak poważnego zrzeszenia, jakim jest Związek Literatów Polskich, nie ma w swej redakcji nikogo, kto by należycie ocenił i zakwalifikował nadesłany z zewnątrz artykuł na tematy językowe i ortograficzne (a więc z dzie-

dzin o niemałym zasięgu i znaczeniu społecznym) oraz że — nie rozporządzając takim fachowcem — nie zwrócił się o radę do kogoś kompetentnego.

Stosunki nasze z ludowo-demokratycznymi krajami słowiańskimi zacieśniają się na szczęście coraz bardziej. W znacznej mierze dotyczy to stosunków polsko-czechosłowackich. Tym bardziej rażąca jest więc nadzwyczaj słaba znajomość wszelkich realiów odnoszących się do tego bratniego kraju. Nie stanowi tu wyjątku stopień orientacji naszych dziennikarzy i publicystów we wszelkiego rodzaju zagadnieniach językowych. Czeskie (i nie tylko czeskie) nazwy własne są niemiłosiernie zniekształcane, co więcej jednak, nawet artykuły lub wzmianki *s p e c j a l n i e* poświęcone językowi — choćby to było ujęcie żartobliwe — roją się od błędów i nieścisłości. I znów to samo, co w wypadku omówionym poprzednio: trudno może wymagać dobrej znajomości obcego języka (np. właśnie czeskiego) od każdego dziennikarza, który o języku tym pisze, każda wszakże szanująca się redakcja winna mieć ambicję sprawdzenia dostarczonego jej tekstu. W Warszawie nie jest to znów takie trudne. Zresztą nie tylko w Warszawie. A oto np. red. H. Korotyński rozpoczynając cykl „szkiców czechosłowackich“ zatytułowany: *Niedaleko od Warszawy...* (Nr 1, „Życie Warszawy“) sypnął całą garścią znanych i mniej znanych facecji, których humor zasadza się na polsko-czeskich zbieżnościach lub rozbieżnościach językowych. Zważmy przy tym, że chodzi o wrażenia z pobytu w Czechach, a więc autentyzm i ścisłość powinny być zapewnione. Kilka progów autor przebył zwycięsko, wreszcie jednak — nie mówiąc oczywiście o drobniejszych potknięciach — rozciągnął się jak długi: w „czeskim“ zdaniu *ted' bude przyspiewek naszego draheho hostia z Polsko* popełnił cztery grube błędy (nie mówiąc o tym, że stylizacja jest naciągana — inaczej jednak nie byłoby dowcipu — oraz pomijając sprawę znaków diakrytycznych, należałoby napisać: *ted' bude przispiewek naszego draheho hosta z Polska*). Jak na *doświadczonego czechologa* — tak mówi o sobie autor — trochę tych błędów za dużo. Również „Express Wieczorny“ (Nr 44 dział „Kto chce, niech czyta“) popisując się znajomością czeszczyzny informuje czytelników, że 25 brzmi po czesku *pat a dvacet*, podczas gdy w rzeczywistości liczebnik ten (mniejsza już o to, że należy go pisać łącznie (ma formę: *pietadvacet* oczywiście w częściowej transkrypcji).

Tzw. kąciki językowe wzbogaciły się, jak już zresztą o tym wspominaliśmy, o rubryczkę językową „Przekroju“, zamieszczaną w cieszącej się poczytnością „Żonie“ Stefanii Grodzieńskiej. Rubryczka ma tytuł: *Tłumaczymy na język polski* — i piętnuje różnego kalibru błędy lub błędziki drukowanej polszczyzny. Szkoda tylko, że sam „Przekrój“ tak często jest w niezgodzie nie tylko z ortografią, ale wręcz z elementarnymi zasadami poprawności językowej. Choćby w tymże N-rze 2., który zawiera

m. in. potępienie (raczej słuszne) zwrotu *proszę koleżeństwa*, natykamy się na takie formy jak *deko*, *poczem*, *klijentka*, *pendzel* itp., nie mówiąc oczywiście o niezbyt fortunnie wystylizowanym zwrocie powtarzającym się w każdym numerze: *pisząc do redakcji prosimy dodać przy adresie (...)*. „Życie Warszawy“ dwukrotnie już wytykało „Przekrojowi“ to uchybienie, które co prawda nie jest identyczne — jak sądzi przytoczona gazeta — z osławionym: *idąc z panem profesorem na wycieczkę krowy ryczały radośnie*. Nie tu jednak miejsce na szczegółowe roztrząsanie tego rodzaju kwestii. Jeśli jednak jesteśmy przy kącikach językowych, wypada podroczyć się — nie pierwszy już raz — z redaktorem takiego właśnie działu, systematycznie prowadzonego w „Słowie Polskim“. W Nrze 49. redaktor ów, dr Stefan Reczek, udzielając swemu korespondentowi zupełnie słusznych wskazówek, w sposób dziwny i niewłaściwy używa rzeczownika *kształt*. W zdaniu: „używanie zaimka *ja* w typie *ja idę* może być również rodzimym *k s z t a ł t e m* odbicia nadmiernie wyhodowanego własnego *ja*“ wyraz *kształt* świadczy o zmanierowaniu stylu, który nadto jest — w danym wypadku — dość ciężki. Użycie natomiast tegoż wyrazu w znaczeniu *forma* — jest już wręcz błędne. St. Reczek jednak pisze: „Jak pan słusznie dostrzega, *k s z t a ł t ja idę (...)* może być poprawny...“.

Medice, cura te ipsum — jakże celne porzekadła mieli ci starzy Rzymianie...

A. S.

OBJAŚNIENIA WYRAZÓW I ZWROTÓW

Miczurinista czy *miczurinowiec*

W pewnej książce z zakresu biologii trafiają się takie zdania: „Miczuriniści widzą jednak główny cel krzyżowania nie tylko w połączeniu cech“, „Jak miczuriniści odnoszą się do poznania zjawisk dziedziczności?“ Czy forma *miczurinista* jest poprawna i czy zwolenników nauki Miczurina nie należałoby raczej nazywać *miczurinowcami*? — Fakty językowe, z którymi się ta kwestia wiąże, wyglądają w sposób następujący. Wyrazy na *-ista*, takie jak *racjonalista*, *materialista*, *pozytywista*, *idealista* — oznaczają zwolenników pewnych doktryn czy poglądów na świat i są odpowiednikami rzeczowników na *-izm*: *racjonalizm*, *materializm*, *pozytywizm*, *idealizm*. Ta odpowiedniość ustaliła się i w formach *marksista* — *marksizm*, co znalazło swój wyraz w tym, że się mówi poglądy *marksistowskie* w znaczeniu »poglądy wypływające z założeń marksizmu: lub zgodne z tymi założeniami«, chociaż przymiotnik *marksistowski* utworzony jest od rzeczownika *marksista* i pod względem ściśle słowotwórczym

wskazywałyby raczej na pochodność od *marksisty* niż na stosunek do *marksizmu*.

W w. XIX powstały wyrazy *kantysta*, *bonapartysta*, *napoleonista* (*wrońskiści*, zwolennicy dobrego podobno matematyka, ale poza tym humbugisty — Wrońskiego pojawili się, zdaje się, dopiero w XX w.). Trudno czasem określić, czy rzeczownik na *-ista* oznacza w większym stopniu zwolennika pewnej doktryny czy jej autora. *Kantysta* to zwolennik Kanta jako filozofa — czyli zwolennik *kantyzmu*. Granica między jednym a drugim jest płynna. Wybór między formacjami *miczurinista* a *miczurinowiec* zależy od tego, czy się myśli o bliższym związku z *miczurinizmem* jako nauką czy *Miczurinem* jako jej twórcą. Wydaje mi się, że forma *miczurinowiec* jako typ formacji jest naturalniejsza i żywsza, prawdopodobnie dlatego, że doktryna plus człowiek to więcej niż sama doktryna. Przy sposobności nasuwa się uwaga, że warto byłoby zastąpić sufiks *-ista* sufiksem *-owiec* w nieudanym wyrazie *czołgista*, w którym swojska podstawa i obcy sufiks kłóca się ze sobą. *Czołgowiec* brzmiałoby znacznie lepiej. Sufiks *-owiec* występuje co prawda w nazwach przedmiotów, jak w wyrazach współcześnie utworzonych: *biurowiec* »dom przeznaczony na biura«, *wieżowiec* »wysoki dom wolnostojący«, ale często jest stosowany i w nazwach osób, na przykład: *związkowiec*, *zawodowiec*, *przemysłowiec*, *nastrojowiec*.

Watalina — watolina

„Czy powinno się mówić *watalina* czy *watolina*? W słowniku ortograficznym Jodłowskiego-Taszyckiego jest tylko *watolina*, czy to jest jedyna prawidłowa forma nazwy materiału wszywanego między wierzch, a podszewkę palta? — W zasadzie fakt, że pewna forma jest podana w słowniku ortograficznym, powinien byłby usuwać wszelkie wątpliwości, bo dowodzi on, że forma ta została urzędowo uznana za właściwą. Chodzi jednak o to, że słownik ortograficzny to nie to samo, co słownik ortoepiczny, bo przepisy ortografii rozstrzygają o tym, jak się pewne wyrazy pisze, a nie o tym, jakich form należy używać. Wątpliwość dotycząca tego, czy poprawna jest forma *watalina* czy *watolina*, nie jest wątpliwością pisowniową, bo każdy używający jednej formy lub drugiej wie, jak się ona pisze, nie wie tylko, której z dwóch form lepiej używać i w mowie, i w piśmie. Co innego, jeżeli ktoś się waha, czy na przykład *po społu* pisze się razem czy oddzielnie: ta wątpliwość jest czysto pisowniowa, bo niezależnie od tego, jak się wyraz napisze, brzmienie jego pozostaje takie samo. Ani formy *watalina* ani *watolina* nie ma w „Słowniku poprawnej polszczyzny“ Szobera, w słowniku Karłowicza-Kryńskiego znajdujemy *watolina*, i jest to forma najczęściej używana w Warszawie. Wydaje mi się, że fakt umieszczenia w słowniczku ortograficznym formy *watolina*

nie rozstrzyga jeszcze bezapelacyjnie o tym, że jest to forma jedynie możliwa. Wysnuwający się stąd wniosek jest niestety taki, jakich na ogół staram się unikać, mianowicie, że między formami *watolina*, *watalina* wybór nie został jeszcze ostatecznie dokonany. Gdyby ta kwestia wypłynęła kiedy jako jeden z punktów obrad jakiegoś ciała powołanego do rozstrzygnięcia o sprawach ortopedii, to głosowałbym za *watoliną*.

Uzbrojeni po zęby

Pewnemu korespondentowi wydaje się niewłaściwe wyrażenie *uzbrojeni po zęby*, zamiast czego wolałby: *uzbrojeni po uszy*, uzasadnia zaś to powołaniem się na zwrot *mieć czego wyżej uszu*. — Nie jest to analogia wystarczająca. Mówi się: *zakochany po uszy*, ale *uzbrojony po zęby*, są to stałe związki frazeologiczne, używane raczej w stylu potocznym, nie będące jednak w kolizji z poprawnością językową.

Przedawać

Czy można używać, jak to uczynił pewien sprawozdawca formy *przedaje* w znaczeniu »przekazuje«? — Oczywiście nie. *Przedawanie* jest staropolskim odpowiednikiem dzisiejszego *sprzedawania*. Gdy się ma na myśli nie to, tylko przekazywanie, to należałoby się posłużyć czasownikiem *przekazywać*, bo od tego ten czasownik jest. Jeżeli chodzi o jakieś konkretne przedmioty, to zamiast *przekazać* można powiedzieć *wręczyć*, na przykład: niech mu pan *przekáže* tę wiadomość — niech mu pan *wręczy* ten list.

Określenia przymiotnikowe

Pewien korespondent porusza w swym liście sprawę stosowności używania form przymiotnikowych w niektórych określeniach technicznych. Korespondent sądzi, że wyrażenia: *filtr olejowy*, *zbiornik paliwowy*, *gaśnica ogniowa*, *rura gazowa* są wyrażeniami skrótowymi, które się nadają do używania w mowie, ale nie w tekście pisanym. *Filtr olejowy* może według korespondenta oznaczać filtr, w którym olej jest substancją filtrującą, ale nie może to być określeniem filtru oczyszczającego olej. *Rura gazowa* jest niedorzecznością, bo rura nie może być zrobiona z gazu (jak krzesło drewniane — z drzewa). Korespondent uważa, że określenia poprawne powinny byłyby mieć postać następującą: *filtr do oleju*, *zbiornik do paliwa*, *gaśnica ognia*, *rura do gazu* i prosi o wypowiedź w tej sprawie.

— Zasadniczo wyrażenia typu *filtr do oleju*, to znaczy takie, w których określenie składa się z przyimka i rzeczownika w którymś z przypadków zależnych, mają charakter bardziej precyzyjny niż wyrażenia typu *filtr olejowy*, a więc takie, w których określeniem jest przymiot-

nik. W znaczeniu przymiotnika jest często pewien luz, więc jeżeli zachodzi potrzeba sformułowania bardzo ścisłego, to istotnie lepiej się posłużyć wyrażeniem przyimkowym niż przymiotnikowym. Lepiej na przykład powiedzieć *środek przeciw bólom* niż *środek bólowy*, bo *bólowy* to forma oznaczająca ogólnie związek z bólem, ale nie precyzująca go, gdy tymczasem określenie *przeciw bólom* mówi wyraźnie o tym, jakiemu celowi środek ma służyć (to samo oczywiście wyraża i forma przymiotnikowa *przeciwbólowy* oparta na wyrażeniu *przeciw bólom*). Nie zawsze jednak zachodzi potrzeba bardzo ścisłego precyzowania treści i zapobiegania nieporozumieniom, które mogłyby wynikać z tego, że przymiotnik ma zbyt szeroki zakres znaczeniowy. Używamy na przykład tego samego przymiotnika *elektryczny* w takich połączeniach jak *prąd elektryczny*, *przewody elektryczne*, *izolatory elektryczne*, chociaż w każdym z tych połączeń ma on właściwie inne znaczenie: *prąd elektryczny* to »prąd samej elektryczności«, *przewody elektryczne* to »przewody, po których przepływa elektryczność«, *izolatory elektryczne* to »przedmioty mające uniemożliwić przepływanie prądu elektrycznego«. Wyrażeniem analogicznym do *przewodów elektrycznych* jest wyrażenie *rura gazowa*; rozumiemy bez żadnych wahań, że *rury gazowe* to nie są »rury zrobione z gazu«, tylko »rury, przez które przepływa gaz«. Wiemy również, co znaczy *straż ogniowa*; gdybyśmy chcieli w tym wypadku uniknąć użycia przymiotnika i ściśle sformułować treść, którą on skrótowo wyraża, musielibyśmy powiedzieć: „straż, której zadaniem jest gaszenie ognia w razie pożaru“. Niewątpliwie wygodniej użyć przymiotnikowego skrótu. *Gaśnica ognia* nie wydaje się lepsza od *gaśnicy ogniowej*. Nie jest uzasadniony przymiotnik *paliwowy* w wyrażeniu *zbiornik paliwowy*: prościej powiedzieć *zbiornik paliwa* (niekoniecznie z przyimkiem: *do paliwa*). Z wyrażeń wymienionych w liście tylko w wyrażeniu *filtr olejowy* może istotnie warto zastąpić przymiotnik *olejowy* wyrażeniem przyimkowym, a więc nazywać odpowiedni przyrząd *filtrem do oleju*. W związku z omawianą kwestią nasuwa się pewna uwaga ogólna. Zastępowanie określeń przymiotnikowych wyrażeniami przyimkowymi bywa zwykle uważane za objaw wzrastania analityczności w języku. Język francuski jest w tym zakresie bardziej analityczny niż polski: wielu polskim przymiotnikom odpowiadają francuskie konstrukcje składające się z przyimka i rzeczownika. W języku francuskim nie ma takiej swobody tworzenia form przymiotnikowych jak w polskim. Dla wyrażenia pewnych treści jest to czasem niewygodne. Nasz przymiotnik *masowy* nie ma francuskiego odpowiednika, *sprzedaż masowa* to będzie po francusku *la vente de masse*, ale to połączenie przyimka *de* z rzeczownikiem *masse*, jest trochę niezręczne. Rzecz charakterystyczna, że współczesny język francuski zapożycza niektóre przymiotniki, jak na

przykład *structural, culturel*, a nawet tworzy takie jak *informationnel* (w tytule pracy naukowej).

Rozpiętość znaczeniowa przymiotników sprawia, że są one wygodnym narzędziem ekspresji i nawet z języka technicznego nie zawsze warto je usuwać.

Chorzów-Batory, odmiana

Jak należy odmieniać nazwę *Chorzów-Batory*? Chodzi mianowicie o to, że jedni odmieniają obydwie człony nazwy, inni tylko człon pierwszy. Jako formy miejscownika widuje się w *Chorzowie-Batorym* albo w *Chorzowie-Batory*. — Rację mają ci, co używają formy pierwszej. Składniki nazwy *Chorzów-Batory* są równorzędne, odmienia się pierwszy, nie ma racji nie odmieniać drugiego, tym bardziej, że forma *Batory* nie sprawia w odmianie żadnych trudności.

„Kto jest kto“

Tytuł znanego austriackiego leksykonu „*Wer ist wer*“? został kiedyś zacytowany w przekładzie polskim w następującej dość osobliwej postaci: „*Kto jest kto*“? Czy tego tytułu nie powinno się tłumaczyć „*Kto kim jest*“? Byłby to, pisze korespondent, przekład poprawniejszy, a przede wszystkim bardziej zrozumiały. — Nie ulega wątpliwości, że tak jest. Jest rzeczą ubolewania godną, że taki przekład mógł w ogóle gdzieś się ukazać. Warto byłoby wykryć „*kto jest ten*“, kto tak tłumaczył i zrobić mu odpowiednią reklamę.

„Pełnić urząd“

W prasie spotyka się czasem wyrażenie *pełnić urząd*. Urząd można *obejmować*, a gdy się go już *obejmie*, to *sprawować*, ale nie *pełnić*. *Pełni* się tylko funkcje. Spotyka się także zwrot *pełnić rolę* — jest to również niestosowne, bo roli się nie *pełni*, ale się ją *gra*.

Od zaraz

Wyrażenie *od zaraz* jest niedbale i należy go unikać w pisany tekście. Jego niepoprawność nie polega na tym, że po przyimku następuje nieodmienna część mowy, bo taką samą konstrukcją mają wyrażenia *od wczoraj*, *od dzisiaj*, a nie są one rażące. W połączeniu *od zaraz* źle są ze-strojone ze sobą znaczenia obu wyrazów: przyimek *od* akcentuje początkowy moment tego, co ma się dziać, wyrazu *zaraz* natomiast używamy wtedy, gdy mamy na myśli chwilę trochę późniejszą od chwili mówienia. Możemy powiedzieć *zaraz to zrobię*, bo całe to wyrażenie odnosi się do bli-

skiej przyszłości, ten odcień znaczeniowy tkwi i w wyrazie *zaraz*, i w formie dokonanej *zrobię*. Tak samo normalne i poprawne są połączenia wyrazowe: *zaraz napiszę, zaraz odpowiem, zaraz sprawdzę*. Nie powiemy jednak *zaraz piszę, zaraz sprawdzam*. Jeżeli nawet połączymy *zaraz* z formą czasu teraźniejszego czasownika na przykład: *zaraz wchodzę*, to jednak czasownik oznacza wtedy zastępczo czas przyszły (tak samo jak w powiedzeniu *jutro wyjeżdżam*). Co prawda *od jutra* nie razi nas, chociaż *jutro* oznacza czas przyszły, ale *jutro* jest przynajmniej wyrazem nadającym się do odmiany.

W *od zaraz* spotykają się bezpośrednio obok siebie przyimek *od* i przyimek *za*, których znaczenia trochę się z sobą kłócą. Tak samo rażąco byłoby wyrażenie *od za chwilę*. Zamiast pokój do wynajęcia *od zaraz* lepiej powiedzieć: pokój do natychmiastowego wynajęcia — albo: pokój do wynajęcia natychmiast.

Chocz — chocki

Jak utworzyć przymiotnik od nazwy miasta *Chocz*, w którym była kiedyś kolegiata? Forma *chocki*, którą zawierają źródła współczesne istnieniu kolegiaty, to znaczy z wieku XVII, XVIII i początków XIX, dziś wydaje się niektórym nieco rażąca. Czy mógłby się nadać przymiotnik *choczański*, a więc czy można napisać *kapituła choczańska, proboszcz choczański, kanonik choczański*? — Jeżeli chodzi o przymiotniki mające w swym składzie przyrostek *-ański* a utworzone od nazw miejscowych, to analogie w języku istnieją: nazwom *Podhale, Rabka, Tatry* odpowiadają formy przymiotnikowe *podhalański, rabczański, tatrzański*. Przyrostek *-ański* jest złożony, powstał on z zespolenia się przyrostka *-ski* z częstką *-an* — występującą w tematach wyrazów będących nazwami mieszkańców miast lub wsi. Możliwe, że punktem wyjścia była tu nazwa mieszkańca Zakopanego: jej postacią pierwotną musiała być postać *Zakopianian*, bo na południu Polski nazwy mieszkańców miast, wsi czy okolic kończą się często nie na *-anin*, ale na *-an*. Forma, nigdzie zresztą nie zaświadczona, *Zakopianian*, uległa uproszczeniu w *Zakopian*, a od tej formy do dziś przez górali pospolicie używanej, utworzony został przymiotnik *zakopiański* (gdyby podstawą przymiotnika była nazwa *Zakopane*, to miałby on postać *zakopański*). Z chwilą powstania formy *zakopiański*, stała się ona, rozszerzając zakres swego użycia, przymiotnikowym odpowiednikiem nazwy *Zakopane*, a potem przyrostek *-ański* zaczął służyć do tworzenia pochodnych przymiotników wprost od nazw miejscowości, a nie od nazw mieszkańców. Forma na przykład *tatrzański* jest niewątpliwie oparta na nazwie *Tatry*; nazwy *tatrzanin* w ogóle nie ma w użyciu. Stąd między innymi wniosek, że przyrostek *-ański* występuje w niektórych przymiotnikach

odpowiadających podstawowym nazwom miejscowości, ale jest to jego funkcja wtórna i niepowszechna. W zasadzie w funkcji tej używany był dawniej i używany jest jeszcze dziś przyrostek *-ski*. Mówimy *Warszawa — warszawski*, *Kraków — krakowski*, *Kalisz — kaliski*, *Poznań — poznański*, *Brześć — brzeski*, *Radom — radomski* itd. Potrzeba oglądania się za jakimś innym przyrostkiem powstaje po pierwsze wówczas, gdy zachodzą szczególne warunki fonetyczne. Trudno byłoby na przykład za pomocą przyrostka *-ski*, utworzyć przymiotnik od nazwy *Wrzeszcz*, — w tym wypadku musimy powiedzieć *wrzeszczowski*. Po drugie czasem użycie przyrostka *-ski* pociąga za sobą zatarcie postaci fonetycznej podstawowego tematu: ktoś, kto by nie znał nazwy *Zabrze*, mógłby mieć wątpliwości co do tego, co stanowi podstawę przymiotnika *zabrski*. Dlatego też można dać pierwszeństwo formie *zabrzański*, z którą się łatwo kojarzy jako podstawowa forma *Zabrze*. Ten wzgląd mógłby przemawiać i za formą *choczański* jako odpowiednikiem nazwy podstawowej *Chocz*, ale myślę, że w pracy naukowej opartej na źródłach, w których jest mowa o kolegiacie *chockiej* lepiej się z tą historyczną i tradycyjną formą przymiotnika zsolidaryzować i kontynuować ją raczej niż ją zastępować mającą pewne analogie, ale nie mającą tradycji formą *choczański*.

„Taryfikator kwalifikacyjny“

„Dnia 22.IV.1954 r. doniosły dzienniki, że uchwalono dla robotników PKP w służbie drogowej elektrotechnicznej i w warsztatach pomocniczych wprowadzić akordowy (...) system płac i w tym celu wprowadzić taryfikatory kwalifikacyjne, co sprzyjać będzie podnoszeniu kwalifikacji robotników i wzrostowi wydajności pracy“. W przytoczonym tekście razi korespondentkę termin „taryfikatory kwalifikacyjne“, w związku z którym nasuwają się jej następujące uwagi. „Wyrazy polskie z przyrostkiem *-ator* oznaczają bądź przyrząd do wykonywania jakiej czynności, bądź człowieka wykonywającego jaką czynność, na przykład w rubryce pierwszej *numerator*, *generator*, *regulator*, *kondensator*, *wentylator*, *segregator*, w rubryce drugiej *prenumerator*, *taksator*, *sekwestrator*, *administrator*, *prowokator*, *agitator*, *wizytator* i tym podobne. Wszystkie pochodzą od czasowników (wyjątek: *nowator*). Wobec tego *taryfikator* może nasuwać przypuszczenie, że mowa o kimś, kto określa tarę lub taryfę. Tymczasem w przytoczonym zdaniu chodzi, jak się można domyślać, o tabelę płac według kwalifikacji, które to określenie, jakkolwiek złożone z czterech wyrazów, co do liczby zgłosek nie jest nawet dłuższe od *taryfikatora kwalifikacyjnego*, a jest przynajmniej zrozumiałe i o ileż przyjemniejsze dla ucha. Uprzejmie proszę o wyjaśnienie, czy me rozumowanie jest słuszne“.

— Owszem, jest słuszne. Słyszałem niedawno w pewnym sprawozdaniu urzędowym wyraz *powielator*, który miał być określeniem pracownika zajmującego się powielaniem tekstów, czyli osobowym odpowiednikiem *powielacza-przyrządu*. Formacja złożona z polskiego tematu czasownikowego: *powielać* i łacińskiego przyrostka *-ator* robi wrażenie nieco komiczne. *Taryfikator* jest również jak *powielator* neologizmem: zastrzeżenia wywołuje nie tyle sposób jego utworzenia, ile zastosowanie.

Rzeczowniki na *-ator* są wszystkie bez wyjątku nazwami wykonawców czynności. Czy wykonawca jest osobą, czy rzeczą, to nie zmienia zasadniczego składniowego charakteru nazwy, która jest nazwą czynnego podmiotu. O tym, jak mocno się kojarzy z przyrostkiem *-ator* wyobrażenie wykonawcy, działacza, świadczy wyraz *nowator*: nie ma odpowiadającego temu rzeczownikowi podstawowego czasownika, ale odczuwamy ten wyraz jako określenie kogoś, kto jest czynnym realizatorem rzeczy nowych, kto w jakiejś dziedzinie wprowadza innowacje.

Taryfikator w bezpośrednim odczuciu jest nazwą jakiegoś wykonawcy, jakiejś działającej osoby albo działającego przyrządu. Działaniem wykonywanym przez osobę lub przyrząd byłoby *taryfikowanie*: ta podstawa formacji *taryfikator* nie jest sama przez się wyrazem wdzięcznym; nie wiem, czy czasownik *taryfikować* jest w ogóle w użyciu, a w każdym razie nie mówi się o *taryfikowaniu kwalifikacji*. Jest to dodatkowy powód, dla którego określenie *taryfikator kwalifikacyjny* jako mające znaczyć tabelę płac według kwalifikacji jest określeniem nieudanym.

Nowohucki

W numerze 108 Gazety Krakowskiej (z d. 7/8 maja br.) prof. dr W. Taszycki podał do wiadomości, że Komisja Ustalania Nazw Miejscowych uregulowała sprawę przymiotnika od nazwy *Nowa Huta*. Jak wiadomo, błąkała się po gazetach forma *nowohutnicki*, która byłaby dobra, gdyby podstawą jej była nazwa *Nowy Hutnik*, a nie *Nowa Huta* (pisał o tej kwestii prof. Taszycki w numerze 2 „Poradnika Językowego“ z r. 1953). Jako formę przymiotnikową, pochodzącą od nazwy *Nowa Huta*, ustalono *nowohucki*. Dobrze, że ta kwestia znalazła praktyczne rozstrzygnięcie.

Co do nazw mieszkańca i mieszkanki Nowej Huty, to ich poprawnymi formami są formy: *nowohucianin*, *nowohucianka* (a oczywiście nie *nowohutniczanin*, *nowohutniczanka*).

W. D.

K O M U N I K A T 1

W związku z włączeniem od dnia 1 stycznia 1955 roku miesięcznika „Poradnik Językowy“ do planu wydawniczego Polskiej Akademii Nauk członkowie i placówki P. A. N., towarzystwa naukowe subwencjonowane przez P. A. N. i pracownicy naukowcy mogą zgłaszać prenumeratę na rok 1955 i zamawiać poszczególne zeszyty za lata ubiegłe (począwszy od roku 1948) w **Ośrodku Rozpowszechniania Wydawnictw Naukowych P. A. N. Warszawa, ul. Nowy Świat 72, tel. 6-31-95.**

K O M U N I K A T 2

W związku ze zmianą dotychczasowej formy prenumeraty bezpośrednio w P. P. K. „RUCH“ i wprowadzeniem w to miejsce prenumeraty zleconej, podajemy do wiadomości naszych Prenumeratorów bliższe szczegóły tej zmiany:

1. Zmiana dotyczy przede wszystkim prenumeratorów indywidualnych, którzy nie będą jak dotychczas wpłacali prenumeraty na konto „RUCH“-u w P. K. O. a wpłaty dokonywać będą mogli bezpośrednio w urzędach pocztowych, w specjalnych okienkach czy też u wyznaczonych do przyjmowania prenumeraty pracowników poczty, którzy będą od razu wystawiali pokwitowania przyjęcia prenumeraty. Prenumeratory indywidualni będą mogli również zamawiać prenumeratę i dokonywać przedpłaty u listonoszów. Sposób ten uważamy, jeżeli idzie o prenumeratorów indywidualnych, za korzystny, gdyż listonosze będą przypominali prenumeratorom o konieczności uiszczenia w terminie przedpłaty i będą dbali o staranną obsługę.
2. Przyjmowanie wpłat gotówkowych na prenumeratę, bezpośrednio przez placówki P. P. K. „RUCH“ zostaje skasowane. Nie dotyczy to prenumeraty zbiorowej zamawianej u kolporterów zakładowych, którzy nadal będą wpłacali należności i składali zamówienia w terenowych placówkach P. P. K. „RUCH“.
3. Zarówno urzędy i agencje pocztowe oraz listonosze będą przyjmować zamówienia na prenumeratę czasopism tylko na najbliższy okres po dokonanej wpłacie: miesiąc, kwartał itd.
4. Wszelkie reklamacje dotyczące nieterminowej dostawy prenumerowanych czasopism, braków w dostawie oraz innych niedokładności należy wnosić wyłącznie do tej placówki pocztowej lub listonosza u którego złożono zamówienie na prenumeratę czasopism. Bezpośrednie zgłaszanie reklamacji do P. P. K. „RUCH“ lub innych instytucji powoduje opóźnienie w szybkim załatwianiu reklamacji i jest przyczyną zbędnej korespondencji.
5. Zażalenia w wypadku nienależytego załatwienia wniesionych reklamacji kierować należy do Generalnej Dyrekcji P. P. K. „RUCH“, Warszawa, ul. Wilcza 46.

Generalna Dyrekcja P. P. K. „RUCH“

ADRES ADMINISTRACJI:

P. P. K. „RUCH“ — WARSZAWA, UL. SREBRNA 12. TEL.: 8-05-42
WARUNKI PRENUMERATY:

Przedpłata roczna z przesyłką pocztową	30.— zł (10 zeszytów)
Przedpłata półroczna z przesyłką pocztową	15.— zł (5 zeszytów)
Cena pojedynczego zeszytu	3.— zł

Nakład 2300+220 Pap. druk. satynowany kl. V, 60 gr. B1. Druk. ukończ. w maju 1955.

NOWOŚCI



NOWOŚCI

J. Andrzejewski — Książka dla Marcina. — Ilustr. Olga Siemaszkowa. S. 105 opr. płt.	zł 7.—
A r y s t o f a n e s — Ptaki — Komedia. Przeł. i objaśnił Józef Jedlicz. Wstępem opatrzył Kazimierz Kumaniecki. S. 193 opr. płt.	„ 11.—
W. B r e d e l — Egzamin — Przeł. z niemieckiego Anna Linke. S. 327	„ 10.50
W. D o r o s z e w s k i — Rozmowy o języku — Seria czwarta. S. 365	„ 15.—
W. D o r o s z e w s k i — Z zagadnień leksykografii polskiej. S. 145	„ 4.—
W. G o d w i n — Kaleb Williams. Przeł. z angielskiego Aleksandra Frybes. Posłowie Ireny Dobrzyckiej. S. 463	„ 15.—
I. K r a s i c k i — Monachomachia czyli Wojna mnichów. Opracował i wstępem opatrzył T. Mikulski. Ilustr. Antoni Uniechowski. S. 90 opr. płt. obw.	„ 25.—
J. I. K r a s z e w s k i — Latarnia czarnoksiężka. Opracowała Ewa Warzenica. S. 474	„ 11.—
L. K r u c z k o w s k i — Wśród swoich i obcych. Posłowie Z. Wasilewskiego (Bibl. Laureatów Nagrody Stalinowskiej Za Utrwalanie Pokoju Między Narodami). S. 285 opr. płt.	„ 11.—
J. L a m — Wybór kronik. Opracował i wstępem opatrzył Stanisław Frybes. S. 384	„ 15.—
M a r c o P o l o — Opisanie świata. Z oryginału starofrancuskiego przeł. Anna Ludwika Czerny. Wstęp i przypisy Mariana Lewickiego. S. 805 opr. płt.	„ 60.—
A. M i ę d z y r z e c k i — Wieczory muranowskie. S. 197	„ 10.—
P. P a w l e n k o — Szczęście. Przeł. z rosyjskiego Irena Piotrowska i Seweryn Pollak (Biblioteka Laureatów Nagrody Stalinowskiej). S. 319 opr. płt.	„ 12.—
A. P u s z k i n — Eugeniusz Oniegin. Przeł. z rosyjskiego Adam Ważyk. Ilustr. J. M. Szancer. S. 200 opr. płt. obw.	„ 20.—
Wł. St. R e y m o n t — Wybór nowel. Wybór i posłowie Leonarda Sobierajskiego. S. 301	„ 9.50
R o l l a n d R o m a i n — Dusza zaczarowana. T. IV Zwiastunka. Księga druga: Narodziny. Przeł. z francuskiego Maria Kornilowicz. S. 607	„ 20.—

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY